



zdarzenia

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

KRAKÓW

11. VIII. 1957 r.

Nr 14

CENA ZŁ 1.50



Rysownik amerykański tak sobie wyobraża przybysza z innej planety.



Latający talerz?

REWELACJE XX WIEKU

CZY PRZYBYSZE Z MARSA SĄ JUŻ WŚRÓD NAS?

Już od blisko stu lat w kręgach pisarzy fantastycznych powieści kursują tajemnicze hipotezy, że nasza Ziemia stoi pod obserwacją mądrych istot z innej planety. W grę wchodziłyby tu Mars albo Wenus, jako najbliższe a mimo to — dalej niezbadane sąsiadki Ziemi w układzie planetarnym Słońca.

Łatwowie i niekrytycznie usposobione umysły przyjmują, że sprawa komunikacji międzyplanetarnej jest już na Marsie, a może na planecie Wenus, tak wysoko rozwinięta, iż Marsjanie, prócz budowy słynnych kanałów, zajmują się też z zamiłowaniem szpiegowaniem, co się dzieje wśród ludzi na Ziemi, wysyłając do nas niezwyklej budowy pojazdy.

Nazwa „latające talerze” jest nową tylko u nas. W Anglii już w roku 1878 znano termin „frying saucers” (latające spodki) na określenie pewnych niezwykłych zjawisk ukazujących się na niebie w postaci świecących tarcz czy kul. Niewątpliwie początek rzeczy tkwi w zjawiskach natury astronomicznej (spadające gwiazdy, meteoryty, aerolity, bolidy itp.). Do tych niezwykłych a może najbardziej znanych na świecie gości kosmicznych należał niewątpliwie tzw. „bolid pułtuski”.

1. Bolid pułtuski

Dnia 30 stycznia 1868 roku około godziny siódmej wieczorem przy pogodnym niebie ukazała się nad horyzontem warszawskim wspaniała kula ognista. Dostrzeżona została najpierw w gwiazdozbiórze Andromedy, w pobliżu jej głowy. Miała wygląd gwiazdy pierwszej wielkości, ale rosła szybko a po przejściu południka warszawskiego dorównywała niemal tarczy Księżyca. Przesunęła się po firmamencie przez gwiazdozbiory Kassiopei, Cefeusza i Smoka ku Wielkiej Niedźwiedzicy. W okolicy tej rozwinęła potężną smugę ognistą, postaci jakby worka w końcu zacstrzonego, 18 razy dłuższą a 4 razy szerszą aniżeli średnica Księżyca.

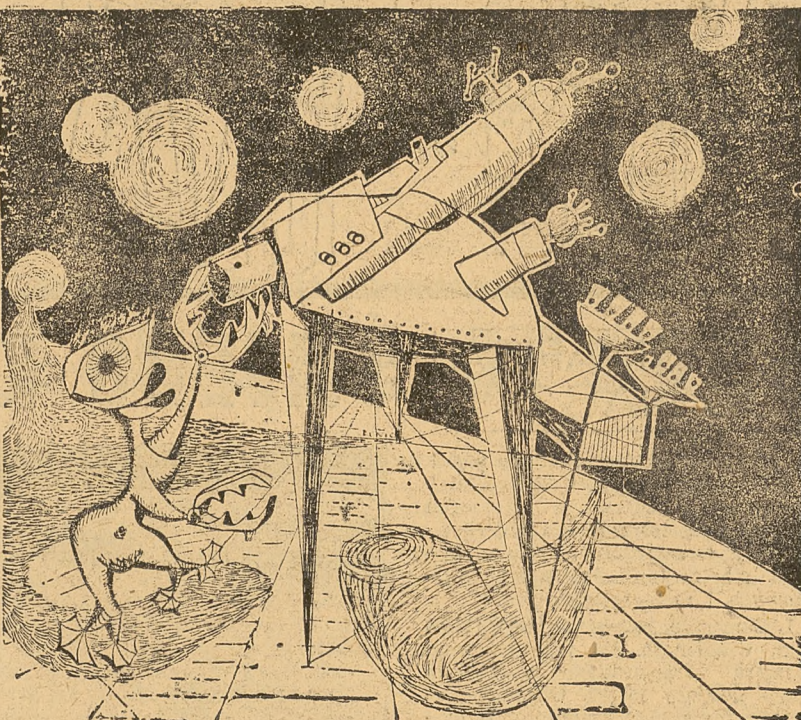
Światło z początku żółtawe, przy powiększaniu się kuli przeszło w odcień niebieskawo-zielony, następnie w ciemno-czerwony, a natężenie jego było tak silne, że miasto wydawało się oblane luną groźnego

pożaru. W chwili, gdy zjawisko to znikło dla oczu obserwatorów w Warszawie, usłyszano gwałtowny huk, jakby potężny strzał armatni.

Nazajutrz dowiedziano się, że pod Pułtuskim (miasto i twierdza na Mazowszu, nad rzeką Narwią), kula ognista rozsypała się w istny deszcz kamienisty.

Bolid ten widziany był równocześnie w Gdańsku, Poznaniu, Krakowie, Pradze, Wiedniu, Grodnie i Dorpacie. W miejscach dalszych wystąpił jedynie jako świetlna gwiazda spadająca, w innych jako kula ognista, przebiegająca bez huku, który słyszano na przestrzeni kilkuset kilometrów kwadratowych, a w Pułtusk wreszcie spadł na Ziemię.

Delegaci Warszawskiej Szkoły Głównej, prof. Babczyński i ówczesny adiunkt Warszawskiego Obserwatorium Deike zbrali kilkaset okruczków. Największy z nich miał



A tak wyobraża sobie „przybyszów z zaświatów” rysownik polski.

ciężar około 7 kilogramów. Szczątki bolidu pułtuskiego z roku 1868 rozeszły się szybko po świecie. Gdy w roku 1887 królestwo Annam w Azji przeszło pod zwierzchnictwo Francji, rząd francuski przesłał królowi Dong-Chanowi jako oznakę jego inwestytury pieczęć sporządzoną z odłamka bolidu pułtuskiego, zakupionego u pewnego handlarza minerałów we Wiedniu, jako że „syn nieba” powinien pieczętować się pieczęcią wykonaną z materiału pochodzenia „niebieskiego”.

2. Lotnik ściga piorun

Podobne bolidy występowały wielokrotnie w różnych krajach świata i mogły być jedną z przyczyn powstania wensji o latających talerzach, jako międzyplanetarnych pojazdach. Inną też naturalną przyczyną podobnych fantastycznych przypuszczeń opisujemy poniżej.

Dnia 7 stycznia 1948 w pobliżu lotniska Godman Fields w Stanach Zjednoczonych setki widzów dostrzegły na niebie świecący obiekt, posiadający kształt dysku, który zbliżał się w stronę lotniska. Komendant lotniska pułkownik Hix znajdował się właśnie na wieży obserwacyjnej w otoczeniu kilku oficerów. Wysoko pod niebem krążyła trójka samolotów bojowych, wykonując różne manewry ćwiczebne pod komendą kapitana Tomasza Mantella. Samoloty pozostawały w łączności radiowej z komendantem na wieży.

Około godziny trzeciej po południu ukazał się oczom lotników wspomniany dysk świecący w przerwie między chmurami, lecąc na wysokości około 3500 metrów ponad po-

ZNOWU „LATAJĄCE TALERZE”

RZYM (PAP) Sierpień 1957. Mieszkańcy okolic Neapolu zawiadomili władze wojskowe, iż w nocy z niedzieli na poniedziałek zauważono tam kilka „latających talerzy”. Również podoficer lotnictwa wojskowego, który pełnił tej nocy służbę obserwacyjną na lotnisku w Capodichino w pobliżu Neapolu zameldował, iż dostrzegł na niebie jakieś „błyszczące przedmioty”, które posuwały się na północo-wschód z wyjątkową szybkością.

Żołnierzem lotniska. Przez lornetki polowe oficerowie mogli dostrzec czerwone płomienie wystrzelające z okrągłej tarczy na boki. Pomiar średnicy wydał wynik ponad 150 metrów.

Za chwilę usłyszano przez radio głos kap. Mantella. „Odkryłem świecący obiekt. Wygląda, jakby był z metalu. Zaczyna iść w górę. Ma tylko połowę mej szybkości. Spróbuję podejść doń bliżej”. Za kilka minut później Mantell zaraportował, że obiekt podwyższył szybkość do 600 kilometrów na godzinę i że dalej uchodził w górę.

O godz. 15.08 jedna z maszyn trójki Mantella doniosła, że kapitan ze swym samolotem zniknął w chmurach, wznosząc się szybciej, niż towarzysze. O godzinie 15.15 usłyszano

‘Ciąg dalszy na str. 2-giej i 3-ciej

S T. L E M

Kilku pomysłowych ludzi zastawało w Ameryce elektryczną maszynę do liczenia „Barrows” do komponowania piosenek.

Elektryczna pamięć maszyny mieści nuty, reguły ich kombinowania w melodiach i zasady eliminacji kombinacji niedobrych. Maszyna stwarza najrozmaitsze kombinacje nut, zestawia je z regułami kontrolnymi, odrzuca to, co się z nimi nie godzi i drukuje na taśmie kompozycje „udatne”.

Pierwotnym jej przeznaczeniem było prowadzenie rachunków buchaltaryjnych; poświęca się im i obecnie, a sztuce kompozytorskiej oddaje tylko godziny „pozasłużbowe”. Jednakże i w tym, stosunkowo krótkim czasie potrafi wyprodukować dostateczną ilość melodii, aby zadowolić swych właścicieli. Rzecz w tym, że fabrykuje ona do tysiąca melodii na godzinę.

FELIETON CYBERNETYCZNY

Ów elektryczny kompozytor, zwany „Dadatronem” doczekał się już, jak slysze, pewnego uznania; jego piosenka pod tytułem „Kociak zdalnie sterowany” nadawana była w amerykańskim radio i w telewizji; podobno jest niegorsza od piosenek, układanych przez rzesze żywych kompozytorów.

„Dadatron” jest wszakże głuchy i niemy; melodie tworzy przez kombinowanie nut, zapisanych w jego pamięci analogicznie, jak są w niej — podczas godzin buchaltaryjnego urzędowania — utrwalane cyfry. Inaczej działa maszyna-kompozytor, specjalnie skonstruowana we Francji w laboratoriach Philipsa. Posiada ona „skład dźwięków”, w którym na taśmie zapisane są dźwięki różnej wysokości, siły i barwy; są tam dźwięki wytwarzane przez specjalne urządzenia elektronowe, utrwalone głosy instrumentów i „dźwięki natury” — od szumu wodospadów po pianie kogutów. W maszynę wkłada się specjalny „program”, ograniczający zasób dźwięków, mających służyć za „surowiec” dla danej kompozycji, przy czym maszyna pracuje tylko w przedziale jednej oktawy, ponieważ już przy dwu oktawach ilość możliwych kombinacji osiągnęłaby 50 miliardów, co niepomiernie przedłużałoby pracę i selekcję.

To co zostaje skombinowane z dźwięków, przechodzi do następnej części maszyny, zwanej rachmistrzem harmonicznym, który odrzuca wszystkie kombinacje, nie odpowiadające prawidłom kontrapunktu. Melodie, które zwycięsko przejdą tę próbę, przechodzą do następnej części maszyny, która je przegrywa. Najdziwniejsze w tym wszystkim jest to, że mowa nie o płodach niezdrowej wyobraźni, lecz o rzeczywistych faktach. We Francji działa także podobna maszyna, układająca

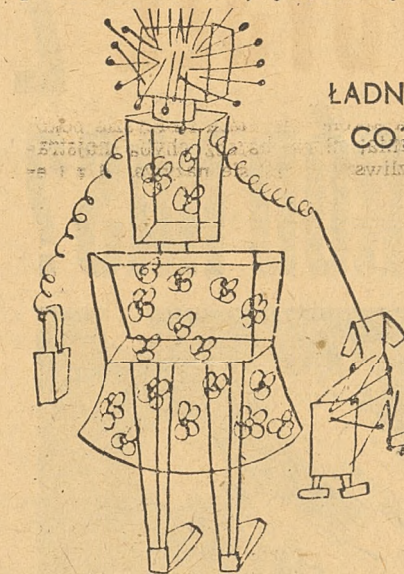
wiersze; niestety, nie miałem możliwości przeczytania jej utworów, nie mogę ich więc ocenić.

Wielkie elektronowe maszyny do liczenia do niedawna były jeszcze podobne do genialnego, lecz sparalizowanego wujaszka, który wspaniale liczy, ale jest głuchoniemy, nie rusza ręką ani nogą i trzeba go karmić łyżeczką. Problemy, które się tym maszynom dawało do rozwiązania, trzeba było tłumaczyć na specjalny język dziurkowanych taśm, taśmy te (tak zwane programy działania) wprowadzało się do ich wnętrza, a rozwiązania wytwarzała maszyna w analogiczny sposób, pod postacią perforowanych taśm. I te z kolei trzeba było tłumaczyć na „ludzki język”.

W laboratoriach telefonicznych towarzystwa Bell Company skonstruowano ostatnio aparat, który mową ludzką bezpośrednio tłumaczy na „język”, dostępny elektronicznej maszynie do liczenia. Początkowo urządzenie to tłumaczyło tylko wymówione przez człowieka cyfry na ich „perforowane” odpowiedni-

ki, zrozumiałe dla maszyny; teraz jednak „pamięć językową” maszyny wzbogacono tak, że może ona „rozumieć” także i „sprawy pozamatematyczne”. Inne, równoległe urządzenie, pozwala owej maszynie także mówić; co prawda nie wszystkie dźwięki (fonemy) języka angielskiego są dla maszyny jednakowo dostępne i trafiają się nieporozumienia; w zasadzie jednak, jak twierdzą ci, co mieli przyjemność porozmawiać z maszyną, wyraża się ona „zadziwiająco wyraźnie i wcale do rzeczy”.

Maszyna przetwarza usłyszane dźwięki w drgania elektryczne, które przepuszcza następnie przez system filtrów częstotliwości; w ten sposób powstaje widmo (spektrum) fonetyczne każdego dźwięku mowy. Widma te zestawia maszyna z „biblioteką widm”, znajdującą się w jej elektronicznej pamięci i na tej podstawie stwierdza, jaki dźwięk



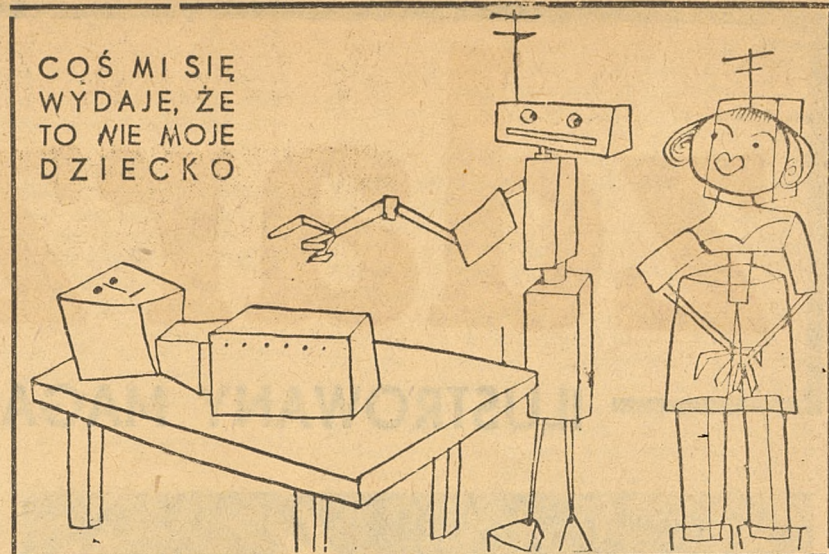
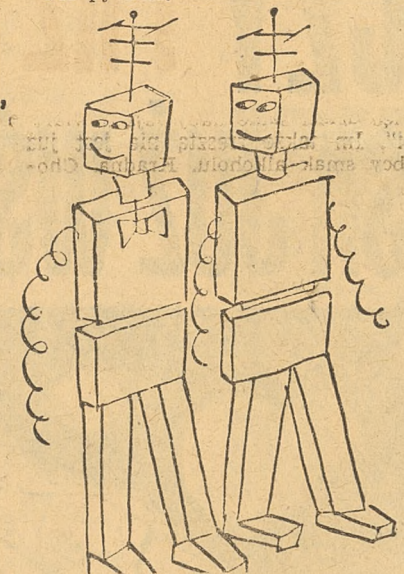
został właśnie wypowiedziany. Z dźwięków składa słowa, zestawia je z posiadanymi w „rezerwuarach” pamięci semantycznej, i postępując tak, może „zrozumieć” wypowiedziane. „Mowa” maszyny polega w zasadzie na procesie przebiegającym w kierunku odwrotnym do opisanego.

Maszyna, o której mowa, jest pierwszą próbną konstrukcją; jej „inteligencja” jest znikoma; mamy wszakże przed sobą zaledwie uczące się mówić niemowlę. Dajmy jej trochę czasu, nawet nie tyle, wiele trzeba rzeczywiście niemowlęciu, wystarczą dwa, trzy lata, a przemówi ona (czy też jej następne, udoskonalone „wydania”) pełnym głosem.

Należy sobie, wbrew wszystkim o, porom, jakie budzi w nas takie twierdzenie, uświadomić, że maszyna naprawdę może rozmawiać z człowiekiem, że więc nie stoimy tu przed jakąś jarmarcznią sztuczką, czy zabawką, którą stanowi np. urządzenie, odpowiadające na pytania dlatego, ponieważ ma gotowe, nagrane na taśmie, stereotypowe odpowiedzi, między którymi może wybierać. Nic podobnego; maszyna posiada tylko pamięć słów, reguły ich łączenia, gramatyczne i semantyczne, i nawet jej konstruktor nie potrafi dokładnie przewidzieć, jaka będzie jej odpowiedź w jakimś konkretnym przypadku. Na scenę wchodzi bowiem element nieobliczalności, zupełnie analogiczny do tego, jaki przejawia się w postępowaniu człowieka. Maszyna skonstruowana przez Amerykanów nie jest zatem jakąś wersją gramofonu, lecz czymś, co specjalnie dla nas, za każdym razem na nowo, zależnie od sytuacji, składa słowa, „komponuje” zdania, i wypowiada je.

Czy słysząc o tym mamy się śmiać i wzruszać ramionami, pozostając w wygodnym mniemaniu, że maszyna jest i pozostanie na zawsze „żelaznym idiotą” niezdolnym nigdy osiągnąć umysłowego rozwoju człowieka? Czy też, może, mamy przyznać się do lekkiego dreszczu w krzyżach, w obliczu tego potwornego, w laboratoriach wypitraszonego, elektrycznego noworodka, który może w przyszłości zgotować ludziom niespodzianki, o jakich im się dotąd nie śniło?

Oto pytanie.



COŚ MI SIĘ WYDAJE, ŻE TO NIE MOJE DZIECKO

ZD^eRZENIA

„ZDANIE”

„Niechaj smakosze przesyleni pałkami upajają się samą subtelnością pracy operatora, wyrażoną w sposobie montażu filmu, niech zachwycają się nawet poziomem dialogów, nie troszcząc się o ich treść, niech unoszą się oni nad genialnymi chwytami scenarzystów, niech do znużenia wychwalać reżysera za to, że jest odważnie niezrozumiały, do jakich wirtuozowskich i prawdziwie pikantnych dwuznaczności zdolny jest jego subtelny intelekt tak bliski wszystkim estetyzującym inteligentom duszom, które zachwycają się nawet lepkim błotem”. „RUDE PRAVO” — z recenzji o filmie Munka „Człowiek na torze”.

NAJSILNIEJSZE WALUTY

„Najsilniejszą” walutą krajów komunistycznych jest chiński juan, po nim zaś radziecki rubel i polski złoty”. (Amerykański ekspert od spraw walutowych F. Pick).

CEL

„Przed wszystkim dążymy do rozbicia europejskiego imperium Związku Radzieckiego na poszczególne części. Nawet jeśli każda z tych części zachowa swą obecną ideologię, nic nie tracimy w sensie naszych celów ostatecznych... Nasz pierwszy cel — to podważyć blok”. (Sulzberger w nowej książce „The big thaw”).

FENIGI I MILIONY

„Wzrok mas nawet sztucznie klerowany na te fenigi, które piekarz uzyskuje więcej przy sprzedaży chleba, podczas gdy miliony, które uzyskał Flick ze sprzedaży kopali węgla w Ruhr francuskiemu koncernowi zbrojeniowemu „Sidechar” (Paryż), miliony, które koncerny stali, żelaza i nafity były i pozostają niezauważone”. (Joseph Wild prezes centralnego związku niemieckich przemysłowców OW NRF).

REZYGNACJA

„W chwili obecnej jest rzeczą całkowitą rezygnacja ze stosowania odpowiedzialności karnej względem dzieci w wieku od lat 12 do 14. W stosunku do wyrostków w wieku lat 15-16 należy stosować odpowiedzialność karną jedynie w wypadku szczególnie poważnych przestępstw oraz przewidywać możliwość złagodzenia kary, tak jak to było ustalone w dawniej obowiązującym ustawodawstwie”. („IZWIESTIA” z artykułu prof. Romaszki).

ANECDOTA

Fonwizin był we Francji w roku 1778, przed rewolucją, i najbardziej dziwny go tam demokratyczne obyczaje. Zaskoczył go na przykład fakt, że znajoma markiza jadła obiady w kuchni razem ze swoją służką, lub że wartownik strzegący w teatrze loży gubernatora, kiedy znużyło mu się stanie na warcie, przysunął sobie krzesło, usiadł i wraz z arystokratycznymi gośćmi oglądał komedie. Fonwizin nie wytrzymał i zapytał dowódcę, czym można sobie wytłumaczyć tak zuchwałe postępowanie żołnierza. Usłyszał spokojną odpowiedź: „Chce on obejrzeć spektakl”. (Erenburg w „NOWYCH CZASACH”).

OPILSTWO

„Opilstwo stało się (w Polsce — przyp. red.) zjawiskiem tak powszechnym, że na tym tle pojawiło się powiedzenie: „Możliwe, że nie ma polskiej drogi do socjalizmu, ale istnieje polska droga do alkoholizmu”. („NEW YORK TIMES”).

CZY PRZYBYSZE Z MARSA SĄ JUŻ WŚRÓD NAS?

ŚMIERĆ KAPITANA MANTELLA

no znów Mantella: „Obiekt jest dalej nade mną i ma nieco większą prędkość od mojej. Podchodzę na 9000 metrów. Jeżeli nie uda mi się zbliżyć, poniecham pościgu”.

Były to jego ostatnie słowa. Gdy jakiś czas nie ukazał się z powrotem, jedna z maszyn dostała od komendanta rozkaz przez radio wzbicie się na wysokość 12000 metrów, aby rozejrzeć się za kapitanem względnie za „statkiem przestrzennym”, za jaki uważano płomienny dysk. Jednakże samolot ten nie zdołał nic dostrzec.

Niebawem przyszły wiadomości z niedalekiej okolicy, iż na polu leżą szczątki samolotu. Wysłano pogotowie techniczne i ratunkowe. Stwierdzono, iż są to resztki po samolocie Mantella, świadczące że maszyna jego uległa okropnej eksplozji. Po nieszczęsnym lotniku nie znaleziono najmniejszych śladów.

„Latający Talerz” ścigany przez lotnika zniszczył doszczętnie swego prześladowcę i jego maszynę!

3. Przygoda farmera w Algierze

W okresie lat 1948-1952 setki listów zagranicznych przynosiło bieżące wiadomości z różnych stron świata o latających talerzach, cygarach, kulach itp. świecących jasno nawet podczas dnia. Poruszały się szybko lub powoli, w górę lub na

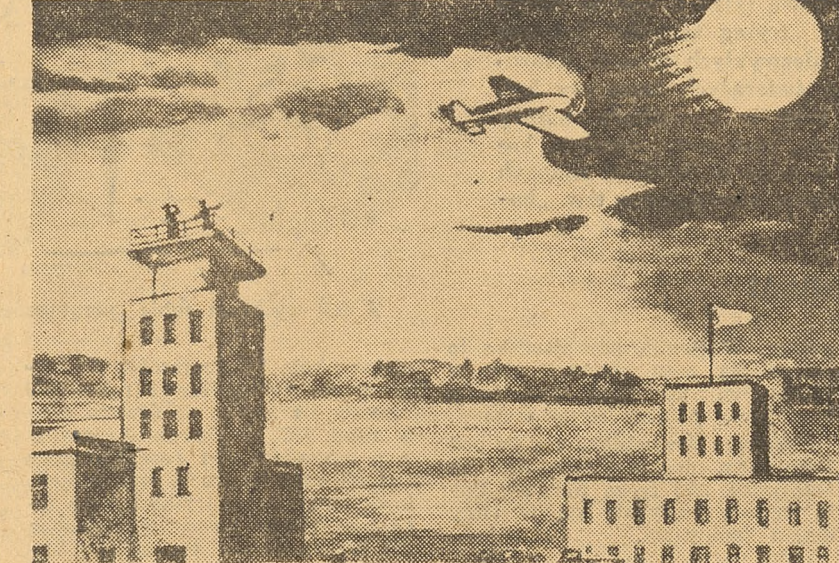
dół, i na ogół szybko uchodzili przed pościgiem samolotów. Szczególniej liczne były obserwacje latających talerzy nad lotniskami amerykańskimi, a w szczególności ponad polami startowymi dla rakiet, wojskowych i meteorologicznych.

L'Humanité przyniosła raz (1950) taką wiadomość. Na pole pewnego farmera francuskiego w Algierze spadł latający talerz. Ogromny, okrągły błyszczący przedmiot o metalowej powierzchni zwrócił oczywiście uwagę farmera, który szybko podbiegł w stronę niezwyklego wchłuku latającego. Przez okno wieśniak dostrzegł znajdujące się wewnątrz pojazdu osoby, zresztą niczym nie różniące się od zwykłych ludzi.

Mimo znaków rękoma, dawanych przez okno (żeby nie zbliżać się do „talerza”) farmer podszedł do metalowej powierzchni i dotknął jej ręką. Co się dalej stało, nie pamięta, bo padł porażony ładunkiem elektryczności, jak od pioruna.

Gdy wrócił do przytomności, nagle było późno. Po gościach i talerzu, pozostały jedynie odciski w gruncie.

Wiadomości takie i podobne stwierdzały, że „latające talerze” albo tylko unosiły się ponad chmurami, względnie wykonywały różne ewolucje, lub też lądowały. Nie brak było też opowiadań, że z „talerzy” wychodziły istoty, całkiem



Pogoń za „latającym talerzem”

niepodobne do ludzi, które jednak szybko uchodzili wraz ze swymi talerzami, gdy ciekawość ludzi z tego świata zbliżała się do tajemniczych przybyszów.

4. Talerze — tu, talerze — tam...

Meran — w południowym Tyrolu, dawniej należącym do monarchii

austriacko-węgierskiej, obecnie przynależny do Włoch, jest słynną miejscowością klimatyczną (gruźlicą) i centrum handlu owocami (jabłka tyrolskie). Leży nad górną Adygą w pobliżu szczytu alpejskiego Naturno (2800 m).

Wedle doniesienia francuskiego pisma L'Humanité z dnia 20 września 1954 także nad Meranem pojawił się latający talerz, i to

właśnie nad wspomnianym szczytem Naturno. Tysiące widzów mogło przez 40 przeszło minut podziwiać zjawisko „latającego talerza”, przesuwanego się majestatycznie po błękitnym niebie Meranu.

W pewnej chwili talerz zamierzał jakby „pikować” czyli pionowo opuścić się na ziemię, ale nagle gwałtownie zawrócił do góry i lecąc z ogromną szybkością zniknął z pola widzenia obserwatorów.

Wśród obserwatorów byli także technicy wojskowi z lotniska w Ciampino, którzy twierdzą, że tajemniczy obiekt miał kształt „półcygara”. Zarząd tego lotniska zaalarmował stację obserwacji lotniczych w „Pratica di Mare”, która posiada urządzenia radarowe. Dzięki temu można było także w takiej drodze zarejestrować różne dane liczbowe dotyczące zjawiska.

Szczegółowe obserwacje wykazały, że jedna strona latającego talerza miała zabarwienie srebrzyste, druga — czerwone. Dostrzeżono też jakby smugi dymu, wychodzące z boków talerza, oraz rodzaj anteny ponad sylwetką talerza.

Z tego samego okresu pochodzi doniesienie, jakie paryskiemu dziennikowi „Le Figaro” nadesłał jeden z jego czytelników, lekarz dr Pigouinides, który zaobserwował ewolucje powietrzne dziwnej maszyny latającej. Oto jego słowa:

SPOTKANIE ANONIMOWE

— ...poszłabym od niego z dzieckiem w każdej chwili, ale gdzież ja znajdę mieszkanie? Wiem, że są szpitale dla alkoholików, coż mi z tego; on się na leczenie nigdy nie zgodzi, a przymusu przecież nie ma. Do zakładu pracy nie odważę się pójść ze skargą; jakby się dowiedział, to już nie wiem co byłoby wtedy ze mną i z dzieckiem. Zresztą jego tam wszyscy lubią, szanują, on do roboty nigdy pijany się nie stawia. Ma opinię sumiennego pracownika, z roku na rok awansuje. Zarabia przeszło 2 tysiące, a dziecko wiecznie głodne chodzi... To nie jest życie, proszę pani. To jest piekło.

Patrzę na jej ręce. Szarpia brzeg obrusa, wędrują po kolanach, wykonują mnóstwo ruchów szybkich, nużących, niepotrzebnych. Twarz wynędzniała, skronie w przedwczesnych pasmach siwizny, powieki zaczerwienione, opuchnięte od wiecznej bezsenności, może też.

Kobieta spogląda na zegarek, zrywa się nagle.

— Niech pani już idzie. On może zaraz nadejść, niech pani idzie.

Zegnam się w milczeniu. Coż tu można powiedzieć? Przytrzymując moją rękę, patrzy mi w oczy i mówi wolno, z naciskiem:

— Jeśli pani umieści w gazecie nasze nazwisko — albo adres, albo coś pozwalającego się tylko domyślać — my z dzieckiem zapłacimy. Pani odchodzi, ale my zostajemy. Proszę pamiętać.

WYPADEK

Ciemna, obdarta z tynku śień, schody od lat nie szorowane. Przedmiescie. W bramie czeka sąsiadka, chwytając lekarza za rękaw;

— Tylko proszę jemu nie mówić, że to ja wyzwałam Pogotowie.

Wchodzimy. Nieład, porozrzucane graty. Wsparta ciężko o stół dziewczyna nie odpowiada na pytania, w milczeniu pokazuje przedramię, z którego spływa krew. Rana cięta, od noża — to widzi nawet laik. „On” — mąż, przyjaciel? Niewiadomo — przygląda się zabiegowi. Oczy szklane, beznamiętne, w oddechu ciężki odor alkoholu.

— Kto panią tak urządził? — pyta lekarz.

— Ja sama, mnie nikt tego nie zrobił.

— Jakiś sama? Proszę nie mówić głupstw.

— Ja sama — powtarza rażąco, w głosie wzbierający lek — robiłam siekaninę na sznycle, zakłułam się... Nic się nie stało.

— Właśnie tak — dorzuca pijany — ona sama. Prawdę mówię, a ja jestem świadek.

Wzywać Milicję? W sporach tzw. rodzinnych — interweniuje tylko w ostateczności. Żądać interwencji prokuratora? Jest przecież ten „świadek”, zapewne postrach całej dzielnicy. Nikt z sąsiadów nie na-



razi mu się nieprzychylną opinią. Jest — i to przekreśla możliwość pomocy prawnej — poszkodowana, która winę bierze na siebie. Nic się nie stało, nikt jej nie skrzywdził. Przypadek.

Stara historia. Kobiety torturowane moralnie i fizycznie — bronią, kryją swoich mężczyzn. Strach przed odwetem? Chęć zachowania jedynego żywiciela rodziny? Uczucie, które mimo wszystko istnieje? Przyczyny bywają takie i inne jeszcze.

— Brałam z nim ślub, to nam całe życie pisane. Bóg mi po śmierci wynagrodzi.

— Dzieciom potrzebny ojciec, choć najgorszy — lepiej, że jest.

— Zawsze tych parę groszy wydestanę, zanim przepię. Sama sobie nie poradzę na świecie.

Upór, ciemnota, brak mieszkań, skąpe zarobki, trudności z pracą, fanatyzm religijny, tradycyjna zależność, pokora wobec tego, któremu ślubowało się posłuszeństwo — wszystko to składa się na ludzkie, codzienne nieszczęście.

RODZINA

Najpierw było go tylko słycać. To chrapiące, belkujące „ej, Mambo...” rozlegało się na dobrych parę uliczek. Ludzie pospiesznie wycofywali się z drogi.

Wreszcie zobaczyłam go. Młody, przystojny mężczyzna, w ramionach pięcioletnia może córka. Szedł jak po chwiejnej serpentynie. Chwilami odpoczywał, przytrzymując się jakiegoś płotu i wtedy na spędzających wieczór w swoich ogródkach sypały się najohydniejsze wyzwiska.

Powiedziano mi:

— To jest C. Ma ośmioro dzieci. Żona także pije. Boi się ich cała Wola Justowska...

Poszliśmy za nim. Nad brzegiem Rudawy dzieci grały w piłkę. Pija-

ny zatrzymał się. Ścieżką nadchodziła kobieta, którą rano tego samego dnia oboje C...owie dotkliwie pobili. Mimo wódki pamięć widać dopisywała; C... zmrużył oczy, jeden ruch — i kobieta potoczyła się po strumieniu zbrozu. Najstarszy, 14-letni syn C. zostawił piłkę, zbliżył się, z zainteresowaniem obserwując poczynania ojca. Ale C. osłabiony widząc wysiłkiem, zachwiał się już na dobre rozkazując przywołać dzieci. Druga córka podbiegła, ojciec wsparł się na niej całym ciężarem, wymyślając kazał się sprowadzić ze wzgórza do domu. Dziewczynka eskortowała go z widoczną wprawą. Pozostałe dzieci chwilę patrzyły za nimi, potem wróciły do zabawy. Codzienny widok, są już przyzwyczajone.

Wspólny nałóg solidaryzuje małżonków. Klóć się, okładają pięściami, znęcają się nad matką starszą — po wspólnym litrze. Pijani, współżycia ze sobą — także na oczach dzieci. Pensja C. nie może sprostać kosztom codziennych libacji, w domu straszyliwa nędza, zatem starsze dziewczynki i chłopcy sprzedają kwiaty na linii A—B. Rodzice nie chcą jednak gotówki; chcą wódki, więc dzieci same nabywają „ówiartki”. Im także zresztą nie jest już obcy smak alkoholu. Kradną. Chodzą brudne, obdarte, zawzrose. Są postrachem sąsiadów, tak samo jak ich rodzice. Asystują przy wszystkich zatargach C...ów z otoczeniem. Dla dorosłych — mają brukowe wyzwiska i pogroźki. Dla rówieśników — pięści. Jaka będzie ich przyszłość? I czy w tej sprawie wyjściem jedynym, niezbędnym nie byłoby pozbawienie C...ów przez sąd praw rodzicielskich? Nie widzę innego rozwiązania i nie widzę go mieszkańcy Woli Justowskiej, bezustanni, bezradni świadkowie. A ile jest takich rodzin w Polsce?

BILANS

Wieżenia są przepełnione ludźmi, którzy przestępstw nieraz najcięższych dokonywali pod wpływem wódki. Przy dochodzeniu źródła przewagi katastrof drogowych, probierz trzeźwości zabarwia się kolorem liliowym. W rejestrze bójek, napadów, zakłóceń porządku publicznego, niezmiennie występuje stały znak równania — alkohol. Wozy Pogotowia Milicyjnego i Pogotowia Ratunkowego kursują po weselach, gospodach, restauracjach. Ile wypadków przy pracy, kalectw, ile ciężkich dla państwa strat finansowych spowodowała wódka? Jaką ilość bezcennych w naszej sytuacji łóżek szpitalnych okupują pośrednie i bezpośrednie ofiary alkoholu? Czy przypadkiem plaga prostytucji, wzrost zachorowań na choroby weneryczne, niska ogólnie zdrowotność społeczeństwa nie stanowią w znacznym sensie pochodnej szalejącego w Polsce alkoholizmu? A przecież to jeszcze nie wszystko.

TAK SIĘ PŁACI

Najłatwiej rzucają się w oczy straty, kleski d o r a z n e. Ale za alkoholizm płacą i przyszłe pokolenia; płacą haracz, chyba najstraszliwszy, który się nazywa d z i e d z i c z n o ś ć.

Nie wiem, czy choćby na użytek wewnętrzny prowadzi się w świecie lekarskim statystykę urodzin dzieci potwornie kalekich, umysłowo niedorozwiniętych, które nigdy nie będą mogły żyć w społeczeństwie, które od momentu przyjścia na świat skazane są na dożywotnią wegetację w szpitalach, zakładach zamkniętych. Jeśli tak — należałoby ją opublikować.

— Nienawidzę nawet słowa „wódka” — powiedział mi jeden z lekarzy, — bo przez wiele lat musiałem patrzeć na męczarnie tych, którzy

Tekst: ANNA STROŃSKA

Zdjęcia: A. PIOTROWSKI

Takie sceny powtarzają się codziennie we wszystkich miastach. Pijacy ryczą, zaczepiają, klóć się.

Oczywiście wywołuje się bójka.

Milicja interweniuje. Pijak atakuje drągiem.



z a w i n i l i tylko faktem nardzenia się z ojca alkoholika, albo alkoholici — matki.

„SZKŁO”

Taka jest nazwa c o d z i e n n a a. „Szkoło” święci swój wielki triumf w Polsce.

Chwiejne, pokraczne pary na parkietach. Dziewczyny o wymiętych twarzach, czekające w objęciach swoich znikających nazałutrz amantów. Suchy trzask butelek, rozbijanych noca w głębi Plant. Bandy zapitych wyrostków, z a b a w i a j a c e się katowaniem dołapanego na ulicy psa. Chamstwo, brutalność, okrucieństwo, jakiś przerażający nihilizm, który z czasem zrywa ostatnie moralne hamulce. Rozkład rodziny, poniewierka dzieci, nędza.

Wiele twarzą wódką. Wszystkie jednak — bezwarunkowo wszystkie — dają się sprowadzić do jednego mianownika; przerażającej społecznej kleski. Co uczyniono dotąd, żeby zapobiec tej klesce?

ANNA STROŃSKA

CZY PRZYBYSZE Z MARSA SĄ JUŻ WŚRÓD NAS?

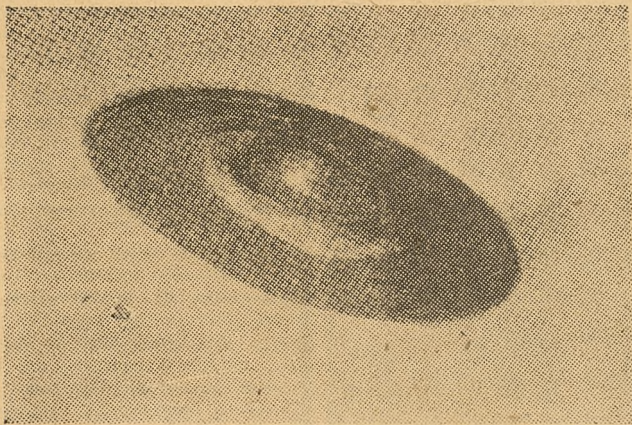
„Jechałem na rowerze, w środę wieczorem, pisze dr P. do redakcji dziennika, z miejscowości Saint-Germain do Poissy, gdy około godziny 21 dostrzegłem, na niebie świetlaną maszynę, która poruszała się mniej więcej równoległe do mojej rutiny na wysokości, wynoszącej wedle mej oceny około 400 metrów ponad poziomem terenu. Był to przedmiot kształtu owalnego, otoczony ze wszystkich stron świetlanym „halo” (koroną), bardzo jasnym i bliszczącym. Z obu stron maszyny wysuwały się w przestrzeń jakby snopy fioletowych promieni.

Wydawało mi się, że obserwowany przedmiot porusza się bardzo powoli, tak że mogłem śledzić go swobodnie oczyma przez przeciąg dobrego kwadransa czasu. Następnie aurela świetlana niemal zanikła a lecący obiekt nagle zmienił kierunek na pionowy i z gwałtowną szybkością wzniósł się do góry, znikając mi z oczu”.

Od powyższych wiadomości, utrzymanych w obiektywnej, trzeźwej formie obserwacji jakby zjawiska fizycznego, odbija rażąco wiadomość innego czytelnika „Le Figaro” następującej treści.

Dozorca drogowy z Mertrud (dept. Haute Marne) Andrzej Narcy zapewnia, że zbliżył się na odległość mniej niż sto metrów do latającej

go talerza, spoczywającego na ziemi w pobliżu Voillecomte. W pobliżu maszyny dostrzegł niewielką istotę, odzianą w oponię, pokrytą zewnątrz włosami. Pasażer talerza miał wysokość około 1,20. Narcy przemówił do niego, jednakże nie otrzymał odpowiedzi, poczym tajemnicza osobistość szybko znikła w drzwiach wejściowych do maszyny, która gwałtownie wzbiła się w górę.



Autentyczne zdjęcie „latającego spodka”.

LATAJĄCE SPODKI LĄDUJĄ

Niezwykły pojazd miał kształt sferyczny o średnicy około dziesięciu metrów. W chwili startu maszyny w górę od spodu wyrzuciły jakby płomienie i chmura pary.

O wypadku tym Narcy niezwłocznie powiadomił swych kolegów, którzy zaraz przybyli z nim na wskazane miejsce lądowania talerza. Stwierdzili tu naocznie, że na gruncie pozostały ślady w postaci odcisków, a w promieniu kilku

metrów trawa była wysuszona i rośsa, widoczna w dalszym otoczeniu, znikła.

Takich i podobnych wiadomości, brzmiących mniej lub więcej prawdopodobnie, można zacytować setki.

5. Władze urzędują...

Jak dalece poważnie traktowano sprawę ukazywania się latających talerzy we Francji, dowodzi wiadomość, opublikowana przez polskie pismo we Francji „Dziennik Wychodźstwa Polskiego” dnia 3 listopada 1954. Brzmi ona następująco:

„Zarządzenie przeciwko latającym Spodkom. Avignon. Mer Chateaufort du Pape, p. Lucien Jeune, wydał zarządzenie, które spotkało się z aprobatą prefekta departamentu Vaucluse. Oto jego treść:

Art. 1. Przelatywanie, lądowanie i odlotywanie aparatów powietrznych zwanych latającymi spodkami lub latającymi cygarami, wzbudzone jest na terytorium gminy bez względu na przynależność państwową aparatów.

Art. 2. „Latający spodek” albo „latające cygaro”, które znajdzie się nad terytorium gminy, zostanie natychmiast zarekwirowane przez władze.

Pismo nie podaje, czy zarządzenie to, niezawodnie obiegające na rynku i wydrukowane na drzwiach Rady Gminnej, powstrzymało lata-

jące spodki i cygara od pojawiania się nad terytorium gminy. Należy zauważyć, że powyższe ogłoszenie ukazało się w wymienionym dzienniku dnia 3 listopada, a nie na — „Prima Aprilis”, jakby zbyt sceptycznie nastawiony Czytelnik miał prawo mniemać.

Pisma amerykańskie podawały swego czasu także wiadomość, jakoby latające talerze miały ukazać się także ponad Mińskiem, a więc w granicach obszaru Związku Radzieckiego. Wywołać miały rzekomo wśród mieszkańców wielką sensację, a władze radzieckie podobno wyjaśniły fakt ukazania się bliszczących talerzy zjawiskiem atmosferycznym. Ze strony radzieckiej nie było nigdy potwierdzenia prawdziwości tego doniesienia.

6. Talerze w Antypodach

Jak podała Agencja Reutera w sierpniu roku 1956, entuzjaści „latających talerzy” zorganizowali ostatnio „międzynarodowy dzień obserwacji nieba”, w czasie którego wypatrywali w przestworzach przyszłości z innych planet.

Czy latające talerze i przybysze z innych planet są prawdą, oszustwem lub złudzeniem — dowiedzie się z następnego odcinka rewelacji XX wieku.

Opracował: E. Białoborski

NAUKA

PIERWSZE FOTOGRAFIE ATOMÓW



Fierwsze zdjęcie atomów w powiększeniu 2,9 miliolektromy wykonane przez prof. Müllera. Pojedyncze atomy widoczne jako białe punkty.

Niemieckiemu fizykowi prof. dr Erwinowi Müllerowi z uniwersytetu w Filadelfii (USA) udało się przy pomocy tzw. mikroskopu jonowego zobaczyć pojedyncze atomy wolframu.

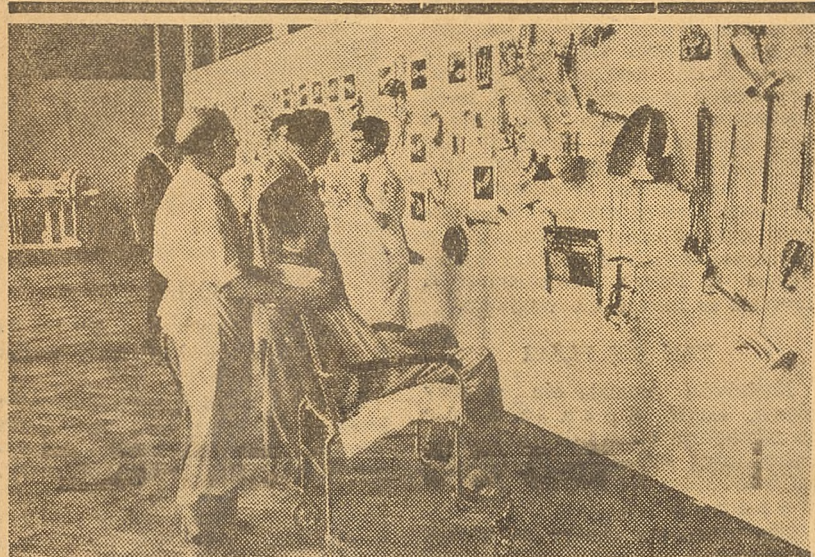
Czym różni się mikroskop jonowy od zwykłego mikroskopu optycznego? Mikroskop optyczny działa na zasadzie wykorzystania promieni świetlnych, których długość fali wy-

nosi około 4/10000 mm. Prawa optyki ograniczają jednak zdolność rozróżniania przedmiotów; wielkość tych przedmiotów nie może być mniejsza od połowy długości fali danego promieniowania — w przeciwnym wypadku przedmiot jest już optycznie niewidoczny. Dla światła dziennego ta wielkość graniczna wynosi 2/10000 mm.

Celem rozróżnienia jeszcze mniejszych przedmiotów stosuje się promieniowanie krótkofalowe np. w postaci wiązki elektronów. Właśnie działanie mikroskopu elektronowego opiera się na wykorzystaniu tego promieniowania.

Jednak nawet mikroskop elektronowy nie nadaje się do badania struktury materii. Dopiero tzw. mikroskop jonowy pomysłu prof. Müllera spełnia to zadanie. Mikroskop jonowy nie posiada żadnych soczewek. Jego działanie opiera się na powstawaniu jonów na powierzchni ostrza wolframowego pod wpływem silnego pola elektrycznego wytworzonego między ostrzem a ekranem fluoryzującym. Jony uderzając o ekran, dają na nim obraz półkulistej powierzchni ostrza (promień ostrza wynosi 1/100000 cm). Wystarczy teraz sfotografować otrzymany na ekranie obraz, aby w ten sposób odtworzyć budowę metalu ostrza. Widoczne na zdjęciu białe punkty stanowią właśnie atomy wolframu rozmieszczone w narożnikach siatki przestrzennej.

W ten sposób mikroskop jonowy prof. Müllera umożliwił po raz pierwszy w historii nauki wykonanie zdjęć atomu, zaś metalografia otrzymała nowe narzędzie do badania metali.



Wystawa narzędzi ortopedycznych, używanych przez ludzi dotkniętych chorobą Heine Medina.

HEINE-MEDINA OSTATECZNIE ZWYCIĘŻONA

Na początku lata br. odbył się w Genewie IV Międzynarodowy Kongres zwołany celem omówienia stanu badań nad zwalczaniem choroby Heine-Medina i zdecydowania, która z trzech wynalezionych do tej pory szczepionek ma znaleźć ostateczne zastosowanie. W kongresie wzięło udział 1500 najciekawszych uczonych całego świata.

Pod obrady wzięto prace dr dr Salk'a, Lépine'a, i Sabin'a. Dr Jonas Salk z Pittsburga wytworzył w kwietniu 1953 r. swą szczepionkę stosowaną z pozytywnym rezultatem u 140 milionów osób. Zasadą szczepionki jest aplikowanie chorą wirusów martwych, całkowicie nieszkodliwych, które powodują w krwi powstawanie przeciwciał. Szczepionka stosowana jest w formie zastrzyków podskórnych. Szczepionka Francuza Piotra Lépine'a, oparta na podobnej zasadzie, jak opisana powyżej, została także przyjęta przez wszystkie państwa, a szczepieniu nią poddało się 5 milionów osób.

Z krytyką obu powyższych leków wystąpił dr A. B. Sabin (USA), który przedstawił własną szczepionkę o odmiennej technologii oraz działaniu. Sabin jest zdania, że wirusy żywe a jedynie osłabione (wyhodowane w innym organizmie), zabezpieczają od zarażenia skuteczniej i na dłuższy okres. Jego szczepionka jest też — wg niego — łatwiejsza w stosowaniu, gdy podaje się ją doustnie. Fakt jednak, że wirusy — tylko nieszkodliwe — mogą w pewnym momencie w organizmie ludzkim odżyć, przeważa i w głos-

sowaniu ogromna większość wypowiedzi się za wprowadzeniem do powszechnego użytku szczepionki typu Salk'e-Lépine'a.

Towarzysząca delegatowi ZSRR — prof. Sołowiewowi — drobna i subtelna dr Woroszyłowa poruszyła bardzo ważny problem, którego w dyskusji nikt dotychczas nie wysunął. Postawiła ona mianowicie pod obrady kongresu 3 pytania: czy można przyjąć jako pewnik, że istnieje tylko 3 rodzaje wirusów powodujących zapalenie opon mózgowych? Czy wirus powodujący epidemię tzw. Bornholmską nie jest przypadkiem czwartą postacią tego samego wroga? Czy szczepionka Salk'a i Lépine'a będzie również skuteczna przeciw ewentualnemu innemu rodzajowi zarazki tej samej choroby? Wyjaśnienie tych zagadnień, odsłaniających wyraźnie lukę w dotychczasowych pracach nad zwalczaniem choroby Heine-Medina, zalecił kongres przeprowadzić w dalszym etapie prac naukowych.

Nowości NAUKI I TECHNIKI

PRZEŻROCZYSTA CHIRURGIA

Na wydziale medycznym uniwersytetu w Chicago wykonano całą serię narzędzi chirurgicznych zupełnie przeźroczystych. Narzędzia zbudowane są z masy plastycznej (metakrylat metylu) i specjalnie przeznaczone do zabiegów na mózgu. Krawędzie instrumentów są zaokrąglone. Chodzi o to, aby nie raniły sąsiednich, nie objętych operacją, tkanek. Przeźroczyste narzędzia chirurgiczne nie odbijają promieni świetlnych — a więc ich refleksy nie przeszkadzają chirurgom. Co więcej, operator widzi poprzez nie doskonale całe pole operacyjne.

PILOT I KATAPULTA

Jak wiadomo, zupełne otwarcie się większości spadochronów następuje dopiero wówczas, gdy lotnik lub spadochroniarz przeleci 150 do 200 metrów. A co zrobić, gdy katastrofa zaskoczy maszynę tuż nad ziemią, lub wówczas gdy samolot startuje czy też już siada? Nowoczesne samoloty odrzutowe zaopatruje się w specjalne urządzenia — katapulty. W razie awarii — pilot automatycznie zostaje wyrzucony z maszyny. W większości wypadków katapulty te działały niezawodnie. Najlepiej działały urządzenia na wysokości przewyższającej 600 metrów. W okresie od 1949—55 roku wypróbowano około 700 wyrzutów z katapulty. Jedną płytą kończyła się niebezpiecznymi wypadkami. I to właśnie gdy wysokość była mniejsza niż 600 metrów. Trzeba więc było zacząć poszukiwania nowych urządzeń, które pozwoliłyby na bezpieczne wyrzucenie pilotów z maszyn na małych wysokościach. W czasie jednego z doświadczeń nad takim nowym urządzeniem, które odbyło się w Right Field (USA) wyrzucono z katapultы startującą maszynę — manekina. Manekin szczęśliwie wyładował, nie odniósł żadnych obrażeń. Maszyna w czasie wyrzutu znajdowała się w wysokości 275 km na godzinie. Wyrzut odbył się z wysokości 15 metrów. Od siedzenia oderwał się manekin natychmiast. Spadochron zaczął działać po upływie 2 sekund. Dalsze próby wykazały, że jeszcze bezpieczniejszy staje się wyrzut z katapulty, gdy krzesło oddziela się od pasażera w sekundę po wyrzucie. Stwierdzono również, że odpowiednie nachylenie maszyny również sprzyja błyskawicznemu otwarciu spadochronu. Pierwszym człowiekiem, któremu udało się szczęśliwie wyskoczyć ze startującej maszyny (a więc z bardzo małej wysokości) — oczywiście przy pomocy katapulty — był angielski pilot Pefield.

OKIENKO PROBLEMÓW AKTUALNYCH

MUZYKA

SAME JANKI MUZYKANTY!

Lektura prasy zagranicznej daje nieraz wiele ciekawych informacji także... krajowych. Oto np. przejrzyliśmy w „Time” sprawozdanie z niedawnego tournée po Europie znakomitej Orkiestry Clevelandzkiej i dowiedzieliśmy się znów czegoś ciekawego o Polakach. The Cleveland Orchestra dała w ciągu 41 dni swego pobytu w Europie, 29 koncertów w 11 krajach, jednakże — po przytoczeniu kilku entuzjastycznych głosów prasy z Paryża, Wiednia itd. — autor felietonu zajmuje się już wyłącznie pobylem Clevelandczyków w Polsce. Czemu zawdzięczamy aż takie zainteresowanie? Wiadomo — nędzy.

Okazuje się, iż nawet nie wiedzieliśmy o tym, że Orkiestra z Clevelandu poza dostarczeniem nam niezapomnianych wrażeń muzycznych, spełnia także rolę przysłówiowego... wujaszka z Ameryki, który szkodliwie obdarowuje ubogich, spragnionych prezentów, krewnych. „Time” donosi np., że harfistka zespołu, pani Alice Chatifoux oddała polskim koleżankom wszystkie zapasowe struny do swego instrumentu, podobnie jak i inni Clevelandczycy wyzbyli się w ten sposób w Polsce strun, ustników itp. Rekord jednakże padł w Katowicach, gdzie trębacz Louis Davidson podarował koleżce z Filharmonii Katowickiej swą trąbkę, wartości 300 dolarów (co uczynił tym chętniej, że dyrektor orkiestry przyrzekł odkupić mu ją w Stanach). Obdarowany katowiczanie, pan Franciszek Stockfisz (pisownia wg. „Time'u”) wyznał na bankiecie

Davidsonowi, że ten owym darem „zmienił całe jego życie”.

W ten sposób zyskaliśmy w USA nie tylko miano szczerych i gorących melomanów, lecz także biedaków, dla których ustnik od klarнету jest nieosiągalnym marzeniem, a trąbka za 300 dolarów otwiera nowe horyzonty. Same, psłakrew, Janki Muzykanci pętają się po naszym kraju — dostarczając wdzierających tematów zagranicznym felietonistom...

Skończmy, u licha, z tą wieczną żebranią! Nauczmy się grać przyzwyczajając przede wszystkim na tym co mamy, a później przyjmujemy to co inni, bogatsi nam dadzą. Jeżdżąc za granicę — a jeździ już w tej chwili całe mnóstwo muzyków — kupujemy struny, stroiki, ustniki, nuty, a nie barwne koszule, skarpetki i zapalniczki. Przestańmy być przykładami wiecznego dziadowania...

A swoją drogą, że zamiast opłacać rój dyrektorów, szefów departamentów, kierowników i urzędników centralnego zarządu instytucji muzycznych, postarabym się Pan o to, aby skończył wreszcie ze skandaliczną sytuacją w jakiej postawiono naszych instrumentalistów, Panie Ministrze kultury i sztuki! Na pustym nawet i Szostakowicz nie zagra, o czym powinien Pan przecież być poinformowany...

PALESTER WŁĄCZONY

Po eksperymencie z „Wisłą” Palestra, której polskie prawykonywanie w Bydgoszczy było pewnego rodzaju sensacją polityczno-kulturalną, szereg innych filharmonii również włączyło utwory Palestra do swoich planów repertuarowych. Dobrze się stało, albowiem nie mamy aż tylu tytanów muzycznych współczesności, abyśmy lekkim sercem mogli rezygnować z dobrej, polskiej twórczości, tylko dlatego, że jej autor chciał niegdyś zachować twórczą swobodę.

AWANTURY, KSIĄŻKI I OGÓRKI

Chciałem użyć w pierwszym zdaniu słowa „przerazający”, ale natychmiast zrezygnowałem. Przecież to jedna z naszych podstawowych wad narodowych — używanie wielkich lub mocnych słów przy byle okazji. I już w tej chwili zabrnąłem w tę naszą wadę. Kochamy uogólnienia. Ze złych przywar nabytych na skutek ciężkich doświadczeń i trudnych warunków życia robimy wady narodowe, jeśli takie w ogóle mogą istnieć. Nie znaczy to wcale żebyśmy byli bez wad, ale niestety większość ich to skutek malego zainteresowania dla tzw. warsztatu pracy.

Obawiam się, że nie z wadliwej organizacji rodzaju się deficyty w kawiarniach, restauracjach czy innych przedsiębiorstwach usługowych, które powinny być dochodowe, lecz po prostu z zupełnego oderwania pracowników tych przedsiębiorstw od najbliższej, otaczającej ich rzeczywistości. Tylko tam gdzie działają bodźce przede wszystkim materialne, (i to nie jakie bądź ale bodźce o pewnej ściśle określonej wielkości) ludzie nie traktują swojej pracy zawodowej jako katorgi. Niestety w większości wypadków i to przytłaczającej bodźców nie ma. A gdy ktoś raz straci zainteresowanie dla swego warsztatu tylko bardzo silny bodziec zdolny jest go przywrócić do normy. Stąd cała kaskada drobnych codziennych tragedii, które wyładowują się w pyskówach, mordobiciach i tym podobnych. Jednym z dowodów, że to co mówię nie jest wyszane z palca są doświadczenia angielskie. Na początku tygodnia robotnicy pewnych wielkich zakładów przemysłowych wykazywali bardzo niską wydajność pracy. Zwrócono się o pomoc do psychologów. Po dłuższych obserwacjach okazało się że dwa dni wolnego (a tam są dwa dni wolne) rozleniwiają ludzi i tylko mocny bodziec może ich przywrócić do normy. Zastosowano ten bodziec — wypłaty tygodniowe były oddane dokonywane w poniedziałki. I co powiecie. Wydajność na początku tygodnia wzrosła znakomicie. Ale u nas nikt się nie zajmuje psychologią. Organizacja pracy nawet naukowa bierze pod uwagę wszystkie czynniki oprócz najważniejszego — psychologii człowieka. A propos organizacji i psychologii.

Wybacze, że od wzniosłych i jakże u nas śmiesznie anachronicznych teorii przeskoczę do powszedniości. Otóż ludzie powracali już z wakacji i rzucili się na... księgarnie. Smutne doświadczenia lat ubiegłych nauczyły ich bowiem że jeżeli teraz nie zaopatrzą swych pociech w podręczniki szkolne to może przez cały rok dzieci będą podręczników pozbawione. Oczywiście książek na rynku jest za mało żeby zaspokoić zapotrzebowanie. Dlatego nasze wydawnic-

two podręczników nie nadszają to już zagadka, która nie pierwszy rok nas intryguje i której wyjaśnienia próżno szukać. Są tacy co twierdzą: czasy się zmieniły, musieliśmy wypuścić na rynek mnóstwo nowych podręczników przystosowanych do naszych przemian i dlatego... Nie moi drodzy, takie twierdzenie nie jest ścisłe. Podręczniki są stare, to znaczy nowiuteńkie w formie ale stare w treści. Mam dziecko w wieku szkolnym i uważnie przeczytałem nie tylko napisy na drugiej stronie lecz także... „Jeszcze sobie trud” przegadanie najnowszych podręczników. Przed wojną gdy książki szkolne były pieknie drogie istniały antykwariaty sprzedające podręczniki stare ale dostosowane do programu. Dziś drukuje się tylko książki nowe — a stare (w formie a nie treści) idą na szmela. Nikomu nie przyszło do głowy że trudności rynkowe można rozładować przez rzucenie do księgarń części lekko poszarpanych, ale całkiem jeszcze dobrych do użytku szkolnego, podręczników. Mamy więc jak co roku beznadziejne kolejkę w księgarniach. Ale tylko w tych kolejkach przeznaczone są do rozprzedawania książek szkolnych. W innych — ogórki, pustka. I znówu nikomu nie przyszło na myśl, że rozładować kolejkę można przez rozrzućcie książek po wszystkich sklepach księgarskich. Specjalizacja w naszych warunkach nie zawsze daje dobre rezultaty. Często — przeciwnie. Wiemy co dzieje się np. w Delikatesach. To jeszcze nie wszystko a propos ruchu w księgarniach. Pewne podręczniki można tam dostać. Innych nie ma w ogóle. Obserwowałem kiedyś tu nieprzyjemną scenę. Stoł kolejką z podręcznikami. Podchodzi kilku klientów i poza kolejką pyta sprzedawcę czy czy są takie a takie książki — sprzedawca oczywiście milczy (działa się to w Krakowie przy ul. Wiślanej). Po kilku bezowocnych pytaniach klient woła: „Panie sprzedawco czy pan jest głuchy?”. „Niech pan stanie w ogonku to się pan dowie”. Oczywiście chodziło o dowieczenie się czy książki są czy nie. Nikomu nawet na myśl nie przyszło żeby wiesz w księgarni listę obecnych na półkach podręczników. Po co? — klient może stać w ogonku. Przecież sprzedawca i tak pracuje. A praca to katorga. Najbardziej nieprzyjemna była jednakże reakcja tych co stali w kolejkach. Otóż ludzie zamiast nauczyć sprzedawcę i kierownika księgarni porządku i wymagać od nich odrobiny inwencji stanęli przeciwko klientom. Zaczęła się pyskówka. Magia zestawienia — praca to katorga działa znakomicie. Jaka praca — to już sprawa drugorzędna. Dziwnie zdawało się pojęcie szacunku człowieka dla człowieka. Klótnie i pyskówki a nawet mordobicia wybuchają za łada powodem. Zły przykład idzie od ludzi którzy z natury rzeczy powinni być kulturalni i delikatni. Kto czytuje pisma literackie a zwłaszcza rubrykę „Żywoćki Literackie” w Życiu Literackim (np. „Ostatni napad na Flaszę”) ten przyzna że ma rację. Ale nie przesadzajmy. Pisma literackie nie czytują ludzie masowo...

TRZY SŁAWY KONGRESU



SABIN (USA)



DEBRE (FR.)



SOŁOWIEW (ZSRR)



POJMANIE ANTYCHRYSTA (DRZEWORYT Z XV W.)

PAUL VALÉRY O NAGOŚCI

Fragment książki „Degas — Danse — Dessin” przedrukowujemy z Nr 1 konspiracyjnego pisma „Droga”, (które wychodziło w Warszawie 1944 r.) w przekładzie Anzelma Andera (pseud.).

Moda, nowe rozrywki, przeróżne teorie, nadzwyczajne skutki lecznictwa, uproszczenie obyczajów, które kompensuje większą złożoność materiału życiowego, osłabienie wszelkich więzów konwencji (a bez wątpienia również i — diabła), sprawiły, że dawne prawa dotyczące Nagości szczególnie złagodniały.

Na plażach pośród nieprzeliczonych nagusów przygotowuje się, być może, zupełnie nowe Społeczeństwo. Jeszcze tam sobie nie mówią na „ty”, są jeszcze pewne miejsca zasłonięte; ale forma „Dzień dobry Panu, Dzień dobry Pani” — między Panem nagim a nagą Panią zaczyna gorszyć.

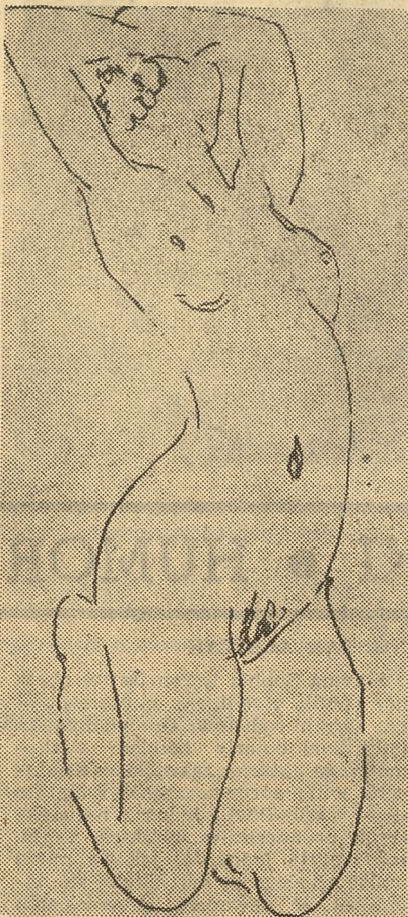
Zaledwie kilka lat temu jedynymi śmiertelnikami, którzy znali nagość byli tylko lekarze, malarze i bywalcy domów „otwartych”, każdy z nich w swoim zakresie. Kochankowie wiedzieli coś o tym w pewnej mierze, ale pijak niekoniecznie jest prawdziwym znawcą i amatorem wina. Nietrzeźwość nie ma nic wspólnego ze znawstwem.

Nagość była rzeczą poświęconą, to znaczy nieczystą. Dopuszczano ją w posagach, nie raz z pewnymi zastrzeżeniami. Osoby godne, które gorszyły się nią w życiu, podziwiała ją w marmurze. Wszyscy czuli niejasno, że ani Państwo, ani Sprawiedliwość, ani Oświata, czy Wiara, ani nic poważnego nie mogło być funkcją, gdyby prawda była całkowicie widoczna. Sędziemu, księdzu czy nauczycielowi potrzeba stroju, gdyż ich nagość zniweczyłaby to wszystko, co musi być nieskazitelne i niehumanitarne w osobie reprezentującej abstrakcję. W rezultacie Nagość miała dwa znaczenia w umysłach ludzi; raz, jako symbol Piękna; powtóre, jako symbol Sprostności.

Lecz dla malarzy postaci ludzkiej była to rzecz najważniejsza w świecie. Czym była miłość dla pisarzy i poetów, tym dla artystów plastyków była Nagość; i tak jak pierwszym miłość dostarczała nieskończenie różnorodnych sposobów ćwiczenia talentu, od najprostszego przedstawienia osób i czynów do najbardziej abstrakcyjnej analizy uczuć i myśli, tak malarze znajdowali w Akcie pretekst par excellence zarówno do najidealniejszych jak do najbardziej realistycznych Nagości.

Czuje się, że dla Tycjana, gdy rozmieszczał jakąś Wenusa o najczystszej ciele, miękko złożoną na purpurze, w pełni swej doskonałości jako bogini i jako malowidło, — że dla niego malować było to pieścić; złączyć dwie żądze w jeden najwyższy czyn, gdzie władanie sobą i swoimi umiejętnościami oraz posiadanie tej Pięknej wszystkimi zmysłami, stapiają się w jedno.

Kredka pana Ingres ściga wdzięk aż do monstrialności, nigdy nie dość giętki i długi grzbiet ani szyja dosyć elastyczna, a uda dosyć gładkie, ani wszystkie falistości ciała nie dość „wiodące” dla wzroku, które je raczej obejmuje i dotyka niż spozstrzega. „O d a l i s k a” — ma w sobie coś z plejzaura, nasuwa na myśl jakie byłyby



H. MATISSE (AKT)

skutki dobrze przeprowadzonej selekcji kobiet wyspecjalizowanych w rozkoszach, jak wierzchowcie angielski w wyścigach.

Rembrandt wie, że ciało jest blokiem z którego światło czyni złoto. On przyjmuje i uznaje to co widzi; kobiety są tym, czym są. Nie znajduje innych, jak otyłe lub wychudłe. Nawet te parę pięknych jakie namalował, są piękne raczej przez jakąś przedziwną emanację życia niż przez swe kształty. Nie boi się obwisłych brzuchów pomarszczonych w fałdy, skóry grubej i prze-rosłej tłuszczem, wielkich kończyn, rąk czerwonych i ciężkich, twarzy wulgarnych. Lecz te zady, brzuchy, cycki, te zwaly mięsa, te brzydula i służące, które wyprowadza z kuchni do łożnicy bogów i królów — nasycą je on i przeświecła słońcem jemu tylko właściwym, łączy jak nikt inny rzeczywistość z tajemnicą, zwierzęcość z boskością, majstrostwo najsubtelniejsze i najpotężniejsze z poczuciem najgłębszym i najbardziej samotnym, jakie kiedykolwiek w malarstwie znalazło swój wyraz.

Degas przez całe życie szuka w Akcie, obserwowanym pod wszelkimi postaciami, w niesłychanej ilości póz aż do pełnego ruchu, jakiegoś jedynego systemu linii, który by definiował daną pozycję ciała z największą precyzją, lecz również w sposób najbardziej ogólny. Wdzięk ani oczywista poezja nie są jego celem. Obrazy jego nie śpiewają, należy zostawić trochę miejsca p r z y p a d k o w i podczas tej pracy, żeby pewne uroki działały, podniecały, u- dzielały się z palety i ręki ... Lecz on, do głębi świadomy, nigdy nie zadowolony tym, co przychodzi od jednego rzutu, umysł straszliwie uzbrojony w zdolność krytyki i na- zbyt wykarminiony na największych mistrzów nie poddaje się nigdy wrodzonej namiętności. Lubie tę powściągliwość. Są istoty, które nie mają poczucia czynienia czegoś, poczucia dokonania czegokolwiek, jeśli tego nie robili wbrew sobie. To właśnie może jest tajemnicą ludzi prawdziwie cnotliwych.

SZTUKA

a PORNOGRAFIA

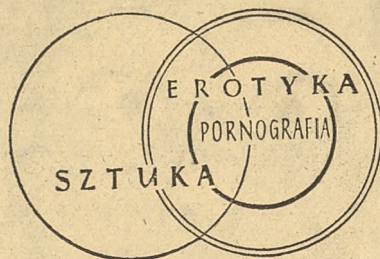
Ostatnio często słyszy się głosy, że prasę naszą zalewa pornografia. W związku z tym warto się zastanowić nad zagadnieniem pornografii. Zbyt pochopnie, nieścisłe szafowanie słowem pornografia jest wynikiem nieporozumienia, niewiedzy, czym właściwie jest pornografia. Etymologicznie słowo pornografia wywodzi się z greckiego „porne” — nierządnicą i „grapho” — pisać; pierwotnie słowo to oznaczało pisanie o nierządnicach i w tym sensie było używane. Dziś w potocznym znaczeniu słowem pornografia obejmuje się szerszy krąg przedstawień w literaturze i sztuce. Najczęściej spotykana definicja brzmi: „pisma i obrazy treści lubieżnej, nieobyczajnej, nieprzyzwoitej”.

W związku z subiektywnym interpretowaniem tych pojęć dochodzi do szeregu istotnych nieporozumień. Oto parę przykładów. Do gabinetu rycin w krakowskim oddziale PAN-u zgłosił się pewien obywatel prosząc by mu pokazano pornograficzne rysunki, np. Rembrandta. Malował jakies tam parawaniki i chciał sobie przerysować różne „motywy”. Z dalszej rozmowy wynikało, że dla niego każdy akt był pornografią. Inny przykład. Dwa lata temu na kontroli celnej zakwestionowano jednemu ze znanych malarzy album z reprodukcjami malarstwa włoskiego dlatego, że na okładce była reprodukcja aktu kobiecego. Urzędniczka oświadczyła, że do Polski nie wolno wwozić pornografii.

To zresztą nie jest sprawa tylko czysto subiektywnego, indywidualnego podej-

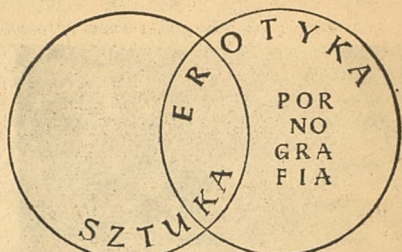
ścia, ale także sprawa pewnych ogólniejszych norm obyczajowych panujących w danym społeczeństwie czy grupie społecznej w określonym czasie. Przecież nie kto inny, jak Mojżesz nakazał kobietom izraelskim, by chodziły ubrane — nie dlatego, by kobieta miała gorszyć nagością, lecz wręcz przeciwnie, właśnie dlatego, że kobiety roznegliżowane — przestawały działać podniecająco na mężczyzn, przez co malała liczba narodzin. Tak więc w czasach Mojżesza obraz nagiej kobiety nie byłby uważany za obraz pornograficzny, lecz przeciwnie.

Powszechnie słowo pornografia ma za barwienie ujemne. Założenie to możemy przyjąć jedynie w tym wypadku, gdy za zasadę podziału przyjmiemy wartość artystyczną. Z jednej strony będziemy więc mieli dzieła sztuki o tematyce erotycznej, z drugiej dzieła pornograficzne, tzn. dzieła o treści erotycznej pozbawione wartości artystycznych, a działające jedynie anegdota. Graficznie można by to przedstawić w sposób następujący:



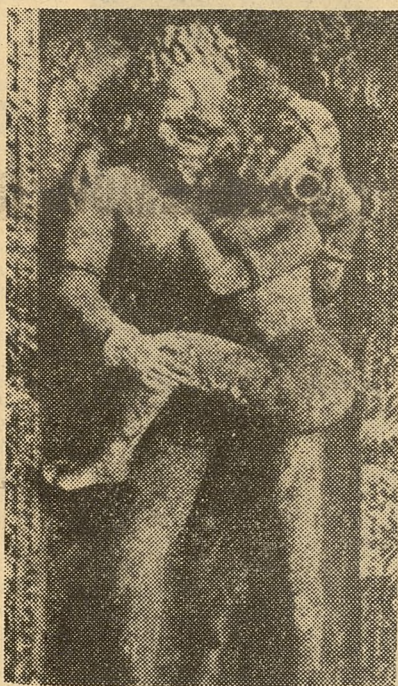
Podział powyższy dokonany w oparciu o kryterium wartości posiada zasadniczy mankament. Nie uwzględnia bowiem czynnika decydującego, jakim jest niewątpliwie w wypadku pornografii treść ideograficzna (treści znaczeniowe). Raczej należy przyjąć istnienie dzieł pornograficznych, artystycznych i dzieł pornograficznych bez wartości artystycznej. Otrzymalibyśmy następujący schemat;

W tym wypadku czynnikiem umożliwiającym odróżnienie dzieła o treści erotycznej od dzieła pornograficznego będzie funkcja anegdoty. Zagadnienie fun-

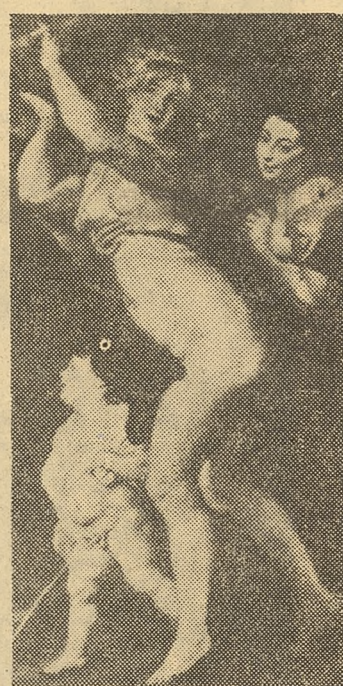


kcji anegdoty wiąże się z jednej strony z zamiarem artysty wywołania anegdoty ściśle określonego stanu emocjonalnego u odbiorcy, z drugiej zaś tego rodzaju postawą odbiorcy. Wyjaśnia to nieporozumienia, jakie mają miejsce w wypadku percepcowania jako pornografii dzieła sztuki pozbawionego funkcji pornograficznej. Np. w krzeszowickim kościele zakonnice osłoniły fartuszkami niewinne nagości puttom zdobionym kandelabry, uważając je za pornografię. Podobnie w czasach Restauracji wiehrabia Gosthene de la Rochefoucauld kazał umieścić listki figowe z papieru na posągach w Luwrze; dziś, w XX wieku, na te same posągi patrzą bez żadnego zgorszenia zakonnice Urszulanki, pogłębiające swoje wiadomości z historii sztuki. W cytowanych wyżej dwóch przykładach mieliśmy do czynienia z utożsamianiem wszelkiej sztuki o treści erotycznej z pornografią. Samo przedstawianie piękna ciała ludzkiego zarówno przez dzieła sztuki, jak i fotografie nie jest pornografią. W jednym wypadku dzieło takie dostarczać będzie przeżyć wyłącznie estetycznych, w innym percepcowane będzie jako pornografia. Problem leży więc we właściwym wychowaniu odbiorcy, a nie w rezygnacji z zamieszczania tego rodzaju reprodukcji.

Ograniczamy się do powyższego skromnego postulatu i proponujemy czytelnikom wypowiedzenie się w pełniejszy sposób na ten temat. Ciekawsze uwagi zamieścimy na łamach „Zdarzeń”. Poza tym w najbliższych numerach postaramy się wydrukować wypowiedzi na ten temat wybitnych artystów, socjologów, lekarzy, psychologów.



SCENA MIŁOSNA — RZEźBA ZE ŚWIĄTYNI W KANARAK (INDIE)



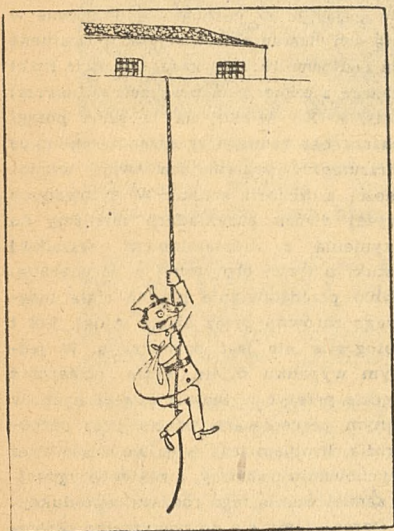
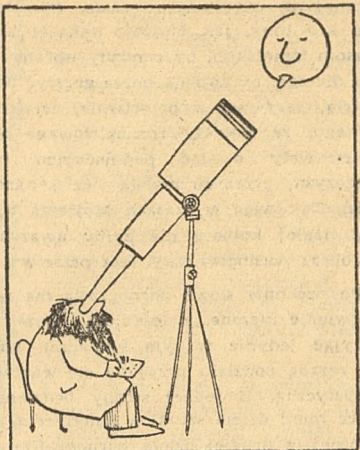
RUBENS: BACHANALIE (FRAGMENT)



PRZYKŁAD EROTYZMU W MODZIE WSPÓŁCZESNEJ

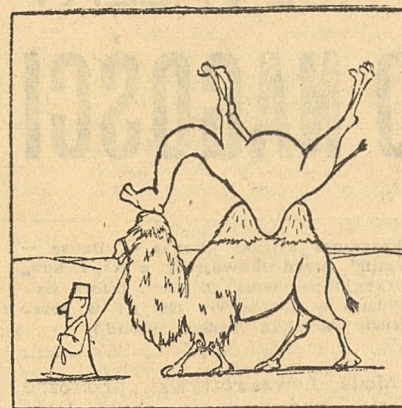


MICHAŁ ANIOŁ: LEDA Z ŁABĘDZIEM



HENRI SALVADOR

Henri Salvador jest słynnym pieśniarzem. I nie tylko pieśniarzem, to również znakomity komik. Niedawno prezentował on swój „mimiczny i piosenkarski album” rodzinny. Śpiewał i pokazywał charakterystyki swojej całej rodziny. Popatrzcie i wy, jak wygląda sztuka Salvadora w ujęciu fotograficznym.



• PLOTKI • HUMOR • FAKTY • PLOTKI • HUMOR • FAKTY •

JAJKO KOLUMBA

Ze zbiorów muzeum w Genau usunięto ostatnio słynne jajko Kolumba. Jak stwierdzili fachowcy, jajko było już nieswieże.

KOLEJKA — STOP

W stanie Arkansas zdarzają się często katastrofy kolejowe. Katastrofy począł się również obawiać dyrektor kolejki wąskotorowej, która kursuje w tym stanie. Wydał więc zarządzenie: „Gdy dwa pociągi spotykają się na mijance — każdy powinien się natychmiast zatrzymać. I żadnemu nie wolno ruszyć dopóki jego partner stoi na miejscu”.

WAŻNE

Prezes amerykańskiego stowarzyszenia hodowli myszy oznajmił ostatnio publicznie że udało mu się wychować mysz centkowaną jak zebra.

ŚMIERĆ ATEISTY

W czasie wojny trzydziestoletniej wojska Ich Katolickich Mości uderzyły się do miasta, broniętego przez protestantów. Przerażeni mieszkańcy rzucili się do ucieczki krzycząc: „Ratuj się, kto w Boga wierzy!” Tylko jeden ateista pozostał na placu boju.

— Jaka szkoda, że jestem niewierzący — westchnął. I zginął.



NIE TAK ALE TAK

Słowna Sophia Loren jest w obecnej chwili ośrodkiem zainteresowania swych rodaków. Do wiadomości publicznej dotarły bowiem wiadomości, że aktorka zakupiła w Szwajcarii willę a równocześnie zrobiła to samo Carlo Ponti, jeden z największych producentów włoskich. Loren zaprzeczyła jednakże, jakoby miała wyjść za niego za mąż. Mówi się natomiast, że powodem przeniesienia się do Szwajcarii i zmiany obywatelstwa jest chęć ucieczki od zbyt wysokiego zainteresowania władz skarbowych... dziwnie niskimi dochodami sławnej gwiazdy, deklarowanymi przez nią urzędowi podatkowemu.

BADANIA UNESCO

Przebiegające obecnie potwierdzają teorię, że pierwsza godzina po zaśnięciu przynosi najpełniejszy odpoczynek. Odpowiednie dowody uzyskano przy pomocy aparatu zwanego „encefalografem” rejestrującym wyładowania elektryczne powstające podczas pracy mózgu. Stosując go, okazało się, w pierwszej godzinie snu aparat prawie ich nie rejestruje; mózg zaczyna „nadać” później, aby wreszcie nad ranem pracować zupełnie normalnie.

W OKOLICACH MOSKWY

uruchomiono niedawno fitotron tj. zespół 33 szklarni, gdzie można odtworzyć wszystkie rodzaje klimatów

na ziemi. Fitotron pozwoli przeprowadzić wszelkie badania nad przystosowaniem roślin do różnych warunków klimatycznych, począwszy od polarnego z temp. — 70 st. C do tropikalnego.

WIADOMOŚĆ DLA ROLNICTWA

W Anglii po 4 letnich badaniach wynaleziono lekarstwo na nieuleczalną dotychczas chorobę bydła — bronchitowe zapalenie płuc, spowodowane przez pasożyty rozmnażające się w drogach oddechowych. Lekarstwo to, nazwane cyanacetydrazyna nie zabija zarazków choroby lecz nieszkodliwie pasożyty, które wydalone są następnie przez organizm. Bronchit szerzy dotychczas w Anglii wielkie spustoszenia wśród bydła, powodując kolosalne szkody materialne.

CZY RADAR ZASTĄPI LODÓWKI?

Byłoby to możliwe, gdyby szeroka praktyka potwierdziła eksperyment Amerykanina dr Dawida Copsona, który produkty żywnościowe zamrożone w próżni poddał napromienianiu falami b. wysokiej częstotliwości, co pozwoliło na utrzymanie ich przez dłuższy czas w stanie świeżym. Wydaje się jednak, że proces ten jest zbyt kosztowny dla większej eksploatacji.

Nasz przedstawiciel redaktor Andrzej Piotrowski przeprowadził rozmowę z sędzią Sądu Wojewódzkiego w Katowicach ob. Kazimierzem Świątą na temat rozpoczynającego się w poniedziałek procesu Władysława Hartmanna i jego współników.

Hartmann, były SS-man, już w czasie okupacji był karany za łapownictwo. A więc — łapownik. Poza tym po wojnie prokurator z awansu, po rocznej zaledwie szkole. Spryt, niesłychany tupet, dużo szczęścia, no i... sprzyjające warunki minionego okresu doprowadziły go do stanowiska, na którym zarobił ponad 600.000 zł na łapówkach, a teraz czeka na proces sądowy i wyrok.

— „No, cóż? Proces będzie olbrzymi” — mówi sędzia. „I olbrzymie nim zainteresowanie. Przede wszystkim w Krakowie potem w Katowicach, Wrocławiu, w Warszawie. I w innych miastach. To jest druga tego rodzaju sprawa, bodaj-

że, w historii polskiego sądownictwa. Pierwsza była przed wojną. O ogromie pracy dowodowej w obecnym procesie niech panu powie następujące porównanie: duże sprawy zawierają się w około 30 tomach aktów zasadniczych i pomocniczych — przeciętnie po 100 kartek każdy. Ten proces zamknięty jest w 59 tomach akt pomocniczych, przeciętnie po sto kartek każdy, oraz w 15 tomach akt zasadniczych — po około dwieście kartek każdy. Razem — 74 tomy! Sama sprawa Hartmanna ujęta jest w trzech tomach — ponad trzysta kart każdy!”

— Panie sędzio! Przecież to diabelnie ciężka sprawa przestudiować takie akta! Samo czytanie zeznań świadków musi być chyba bardzo żmudne!

— „O, tak! Tych świadków jest sporo. W sumie dwustu. Ale muszę panu powiedzieć, że mimo wszystko sąd ma ułatwioną pracę. A wie pan, dlaczego? Bo to nadzwyczaj żmudne i trudne przygotowanie całości wykonano zostało przez Generalną Prokuraturę — wprost przykładowo! Układ akt od strony technicznej jest świetny. Tak samo doskonale ułożony jest podział

grupowy przestępstw i dowody. Protokoły przesłuchania są wiernym odzwierciedleniem tego wszystkiego, co w czasie tych przesłuchań się działo.

— Jak długo będzie trwał proces? — „Proces jest rozpisany na 30 dni. Liczymy się jednak z tym, że, razem z przerwami, potrwa jednak około 6 tygodni”.

— Jaki jest skład Sądu? — „Z uwagi, jak już panu mówiłem, na olbrzymi materiał do przestudiowania i jego jakość zespół sędziowski — to zespół sędziów zawodowych. Sprawa nie jest trudna — tylko żmudna i pochłania bardzo dużo czasu. Dlatego tym razem nie będzie ławników”.

— Jeszcze jedno pytanie. Dlaczego proces odbędzie się w Katowicach? Jak mi wiadomo z akt, miał on odbyć się w Warszawie?

— „Słusznie. Miał być w Warszawie. Ale decydującą rolę odegrało w tym wypadku zagadnienie samej ekonomiki procesu. Proces z uwagi na świadków, biegłych etc, zamieszkujących w Krakowie, byłby za drogi i mógłby ulec przedłużeniu. Poza tym, Sąd Najwyższy zdecydował

Katowice, a nie Kraków — choć to przecież proces „krakowski” — dlatego, że wszyscy oskarżeni, jak i świadkowie pochodzą z Krakowa, no — a tam byli bardzo żywe i ściśle powiązania. Prokuratura, milicja, adwokaci... Trzeba było stworzyć warunki jak najbardziej obiektywnej oceny i, co za tym idzie, wyroku”.

Przedrukujemy bez komentarza list, który Władysław Hartman w lutym br. wysłał z więzienia mokotowskiego — do kogo? — do Bolesława Piaseckiego.

Szanowny panie! Czytając prasę dowiedziałem się o porwaniu Pańskiego syna. Jak dotąd nazwa dzielna Milicja nie znalazła go, o ile oczywiście jeszcze żyje. Zresztą czytając o tej sprawie przypuszczałem, że jest to nieprzeciętna sprawa. Ponieważ „nie co przestępcze” nie jest mi obce, a w rozwiązywaniu troszkę gorszych zabawek — zagadek „bawiłem” się od 17 roku życia (dzisiaj mam lat 37, żonaty, 1 dziecko lat 2) mam nadzieję, że i tę sprawę może mógłbym rozwiązać. Nadmieniam, że posiadam trochę fachowego przygoto-

wania, a poza tym dużo intuicji i wrodzonych zdolności. A więc: rok 1938—39 praca w wywiadzie niemieckim. Lata 1941—1943 Waffen SS front wschodni, 1944 — Abwehra w Krakowie. 1935 pracownik Wydziału Śledczego Komendy MO w Krakowie. 1946—1948 oficer śledczy Informacji KBW w Krakowie. 1949—1952 — podprokurator, szef Prokuratury Okręgowej w Krakowie i Szef Prokuratury Wojewódzkiej w Kielcach. Obecnie zmieniałem mieszkanie i przebywam na Mokotowie (od 29 XII 1955 r.). Mimo usiłowań udowodnienia mi czegoś więcej, skierowano sprawę do Sądu Wojewódzkiego dla województwa warszawskiego o marne pośrednictwo w łapówkach — art. 38 KK nr sprawy IV K353/56. O ile miałby Pan ochotę porozmawiać ze mną, to proszę zwrócić się do Sądu o zezwolenie na widzenie, względnie porozmawiać z moim adwokatem dr Pocięjem, zam. w Warszawie, który wie dobrze, że nie ma dla mnie rzeczy niemożliwej. Sprawa interesuje mnie tylko jako zagadka do tej pory niewyjaśniona i nie pragnę ani pieniędzy, ani niczego innego. Rozpacz tylko ogarnia człowieka, gdy widzi, że przez ślamazarność i nieudolność ginie Pański Syn.

Hartman Władysław

HARTMAN

LITERATURA

TRZECIE „CUDOWNE DZIECKO”

Wydawca paryski René Juillard odkrywcą „Saganki” (Witaj smutku) oraz ośmioletniej poetki Minou Drouet przedstawił niedawno smakoszem tego rodzaju literatury nową gwiazdę: jest nią 17-letnia Berthe Grimault z zawodu pasterka, zamieszkała w jednej z wsi niedaleko Poitiers. Jej książka „Piękny błazen” (Beau Clown) nie ma specjalnej wartości literackiej, ale dzięki odpowiedniej reklamie warunków w jakich powstała spotkała się z dużym sukcesem nawet poza granicami Francji. Fakt, że młodziutka autorka napisała ją z pomocą „ortograficznego wiejskiego listonosza” dodaje książce tylko uroku i zwiększa ilość sprzedanych egzemplarzy.

Powieść pisana jest w pierwszej osobie, z perspektywy wiejskiego dziewczęcia i bez wątplenia zawiera autentyczne wspomnienia z życia Berthy.

Pewien wieśniak, właściciel nędznej posiadłości wraca do domu po dłuższym pobycie w szpitalu dla nerwowo chorych. Towarzyszą mu trzy umysłowo chorzy a wśród nich, według relacji opowiadającej, całkiem sympatyczny błazen. W jakiś czas potem tak dobrana kompania zostaje uzupełniona trzema Murzynami z amerykańskiej armii, którzy nie zwlekają z wyra-



żeniem swych uczuć wobec obecnych w domu kobiet.

Na takim tle autorka opisuje warunki, w jakich przyszło jej żyć i wzrastać.

„Każdego wieczora otrzymujemy gotowane ziemniaki nieco okraszone mlekiem. Czasami fasolę, której nie mogę jeść. Ani ja ani żadna z moich siostr nie jadamy przy stole. Jemy stojąc, czekając tylko na odpowiednią chwilę, aby wzajemnie kraść sobie chleb. Około 10-tej rano i czwartej po południu jesteśmy głodne jak wilki ale mama nie znoś abyśmy jęli między głównymi posiłkami. Kiedy już bardzo dopominamy się rzuca każdej z nas po kromce suchego chleba. Chleb jest stary i spleśniały. Mama naumyśl-

nie tak długo go przetrzymuje; wychodzi z założenia, że w ten sposób zjemy go o wiele mniej. Masia i Sera nie wolno nam nawet ruszać: sprzedaje się je, aby za uzyskane w ten sposób pieniądze kupić cukier, oliwę i wino”.

W zakończeniu powieści „Piękny błazen” podpada „dotknięta grzechem” zagrodę, która całkowicie ulega zniszczeniu.

Obecnie Bertha przebywa w okolicach Londynu pod troskliwą opieką, poznając tajniki ortografii, tenisa, savoir-vivre'u tak ułatwiające i uprzyjemniające życie.

Jeszcze przed swoim przesiedleniem się do Anglii omówiła ze swym doradcą literackim z ramienia wydawcy treść nowej książki, która ma nosić tytuł „Tuer son enfant” (zabić swe dziecko): młoda służąca zabija przez omyłkę swe niesłubne dziecko. Zwiłok noworodka zjadają świnię.

Jak podaje Juillard treść tej powieści ustaliła Bertha w ciągu 2 minut.

KRYSTYNA GRZYBOWSKA

KTO ROZPROSZY MGŁĘ NAD TAMIZĄ?

Pytałam się, ilu jest pisarzy polskich w Anglii. Jedni powiadają kilku, inni około czterystu. Bagatela! Czterystu na 150 tysięcy angielskich Polaków, gdy w Polsce mamy ponad sześćset. Tylu więc pisarzy polskich utrzymuje się w Wielkiej Brytanii z literatury? Zapyta ktoś... Ale skądże! Na ogół mowy nie ma o „utrzymywaniu” się pisarstwa! Podkreślają więc ci pisarze, że nie są jak my w Polsce literatami, ale pisarzami. Owszem, nawet bardzo to podkreślają! Ich związek, nie gromadzący zresztą wszystkich, ale raczej tych starszych, jeszcze „przedwojennych”, nazywa się „Związkiem Pisarzy Polskich na Obczyźnie”, nie „Literatów”. Utrzymują się, pracując po biurach i — niektórzy, w „Wolnej Europie”. Pisują wieczorami, po powrocie z pracy. Jeszcze inni przetrzymali się na publicystykę. „Pisarzem” mówi Zygmunt Nowakowski „już nie jestem i nie będę, bo muszę odrobić te cztery kawałki” (Mowa o felietonach w „Dzienniku Polskim i Żołnierza”). Inny pisarz, sporo publikujący, przyznaje, że roczny zarobek z tego pisarstwa wyniósł ostatnio — 20 funtów.

Czy owych czterystu, to rzeczywiście wszyscy — pisarze? Mam wrażenie, że picażem może nazywać się tam każdy, kto pisze, lub kto cośkolwiek napisał. Z drugiej strony np. prof. Kukiel, pisujący często w „Wiadomościach” zastrzeżę się, on nie uważa się za pisarza, jest uczonym, naukowcem. W Polsce, aby zostać członkiem Związku Literatów, trzeba posiadać w dorobku dwie książki lub dwie sztuki, publikowane lub zakwalifikowane przez komisję oceniającą poziom artystyczny. W Londynie Związek takich kryteriów o ile wiem, nie stosuje. Z drugiej strony poza jego obrebem istnieją pisarskie środowiska, niewątpliwie bardzo „literackie” na przykład grupa „Merkuriusza”. Jest to grupa młodych; przeważnie poetów i krytyków. Z nich nazwisko Sity, jest w kraju już dość znane, chyba na równi z nazwiskiem poety, reprezentującego Parę i „Kulturę”, Pankowskiego. Dobrze się zapowiada Czarkowski, również młody poeta; albo Taborski, który uprawia obok poezji także krytykę. Z tymi pisa-

rami nawiązaliśmy już kontakt, ich utwory i wypowiedzi ukazują się w naszych czasopismach (że wymienię tylko „Po prostu” albo „Nowe Sygnały”). W ogóle wydaje się, że mur pomiędzy nami a nimi poważnie się kruszy. W witrynach księgarskich leżą powieści Kuncewiczowej. Londyńskie „Wiadomości” w rubryce „Szkiełko i oko”, redagowanej (ośmielę się zdradzić tajemnicę przez Marię Danilewiczową) stale omawiają sprawy krajowe, o ile mogłam sprawdzić obiektywnie, chociaż czasem informacje są niedokładne, mur jeszcze działa. Ostatnio w rubryce tej znalazła się przedrukowana w obszernym skrócie z „Nowej Kultury” polemika L. H. Morstina z „Dialogiem”, przy czym „Wiadomości” stają całkowicie po stronie autorów polskich, którym nasi domowi potentaci prasy i teatru, pragnący sami wyżyc się autorsko, próbują przerabiać teksty. Może w związku z tym teatr polski w Londynie przygotowuje emigracji tamtejszej niespodziankę, zamierzając otworzyć sezon właśnie — jedną z najnowszych sztuk krajowych, która

nie tylko istnieje: prosperuje, z tym faktem trzeba się liczyć, nie można jak struś chować głowy w piasek i udawać, że go nie ma. W ogóle — najwyższy czas stworzyć jakieś możliwości współżycia między krajem a angielską Polonią. Droga do niej wiedzie w dużej mierze przez kontakt wzajemny pisarzy.

Dlaczego właśnie przez pisarzy? — rzecz prosta, „duchowymi” przewodnikami Polonii angielskiej stali się pisarze i artyści. „Wiadomości”, „Merkuriusz”, teatr, Biblioteka polska, że wymienię przykładowo... są instytucjami działającymi skutecznie, jeśli chodzi o utrzymanie polskości, rozwój młodego pokolenia.

Niestety, gorzej jest, jeśli chodzi o kontakt z krajem. Trzeba to szczerze powiedzieć — wyobrażenia o tym, co się u nas dzieje, są nad Tamizą bardzo mgliste i to nie tyle z winy panującego tam klimatu, ile wskutek prowadzonej przez tyle lat zimnej wojny. Podkreślam fakt przeze mnie zaobserwowany: przybysze z Polski są tam witani bardzo serdecznie, daleko chyba serdeczniej niż przez Polonię paryską. Nie mniej ten serdecznie witany obywa-

tel Polski Ludowej nie zawsze jest rozumiany. Wyczuwa się brak wspólnego języka, a raczej, i to w daleko większym stopniu, brak wspólnych doświadczeń. Oni pozostają dotąd pod wpływem przeżyć i urazów, u nas przewyższonych lub przetrzawionych, czyli pod wpływem przeszłości. Natomiast dla mieszkających w kraju dzień dzisiejszy, sprawa kształtującego się jutra są najważniejsze. O tempie zmian, o istocie ich, słowem o naszej rzeczywistości wiedza teoretycznie, ale sobie tego nie umiemy wyobrazić. Są czasem przykre konsekwencje. Wiele znana sprawa uchwały o niepiśmianstwie do krajowych pism, o niepublikowaniu w kraju, której się część pisarzy kurczowo trzyma. Albo tego rodzaju rozpaczliwe i niesprawiedliwe artykuły, jak ostatnio w „Życiu”, katolickim tygodniku społeczno-kulturalnym niejakiego J. Bielewskiego, który chciałby emigracji wmówić, że wyjeżdżający zagranicę są chowliwko obarczani przez rządzących u nas demonów „komunistyczną plagą” i jeśli opowiadają o faktach dodatnich, to powtarzają tylko „złocę kłamstwa”. Jedynym sposobem udaremnienia podobnych występów politycznym publicystom, którzy kierują się nie interesem grupy społecznej, ale własną racją bytu — jest bezpośrednie porozumienie.

W prywatnych rozmowach pisarze polscy w Londynie stwierdzają jego konieczność. Czy naprawdę nie ma możliwości spowodowania jakiegoś wspólnego narady? Czy ma sens ignorowanie tak żywotnego środowiska kultury polskiej po za krajem? I — jeszcze bardziej — czy ma sens obrażanie się na kraj, idący swoją, trudną, ale z konieczności, które tylko w kraju żyjąc można zrozumieć — wynikającą drogą? Zwłaszcza, w tym drugim wypadku, gdy chodzi o ludzi, wywieszających tak ostentacyjnie na swym sztandarze hasło liberalizmu? Czy nie jesteśmy jak małe dzieci, które nim się poznają i nim przystępują do wspólnej zabawy, bocza się na siebie z dwóch przeciwnych kątów pokoju. Chyba dość było tego boczenia, można już wystąpiwszy na środek podać sobie rękę w uścisku.

„Wiadomości”, otóż właśnie! Leży przede mną pięknie wydana książka, która się świeżo ukazała, ale jest po części odtworzeniem wieczoru w Ognisku Polskim w Londynie sprzed dwóch lat, w dniu 18 czerwca 1954 roku. Tytuł wiele mówi: „XXX-lecie Wiadomości”. Wewnątrz 36 pisarzy polskich i obcych omawia historię pisma, założonego w r. 1924 w Warszawie przez M. Grydzewskiego, czyli „Wiadomości Literackich”. Czyta się jak — no, jeszcze nie powieść, ale jak materiał do pasjonującej powieści. Pismo zachowało do dziś nie tylko dawny format i wygląd, ale i wydawcę — Bormana i redaktora — Grydzewskiego. Zachowało też niewątpliwie poziom.

Cóż pismo marksistowskie to nie jest na pewno. Jest też nastawione wobec tego, co się w kraju dzieje, bardzo nieufnie. Ale istnieje — i

Fakty ★ Plotki ★ Fakty ★ Plotki

Jeszcze o piwnicach

Aktualne obecnie na terenie Krakowa zagadnienie wykorzystania na pomieszczenia dla Galerii Malarstwa i Teatr Eksperymentalny piwnic zabytкового budynku „Krzysztoforów” jak również związane z tym zagadnieniem, dokładne zapoznanie się przez mnie z tymi piwnicami przy sposobności sporządzenia pomiarów inwentaryzacyjnych, pozwala na wysnuć niekorzystnych dla obecnych użytkowników porównań, w stosunku do użytkowników okresu średniowiecza.

W okresie średniowiecza piwnice „Krzysztoforów” jak zresztą i innych budynków „Starego Krakowa”, wykorzystywane były w pełni dla celów handlowych, magazynowych, pomocniczo-usługowych i rzemieślniczych.

Z potrzeb użytkowych wynikły duże wymiary pomieszczeń — dobrze pojęty interes własny użytkownika spowodował solidność i staranność wykonania konstrukcji, a objawem potrzeb estetycznych ówczesnych użytkowników są piękne formy sklepień oraz architektoniczne elementy w postaci portali kamiennych i kominków.

Użytkownik potrzebował piwnic, a więc dbał o nie i należało konserwować.

A dzisiaj użytkownik? Ciąg piwnic od Rynku wzdłuż ul. Szczepańskiej do bramy wjazdowej na dziedziniec zajmuje powierzchnię około 45.500 m kw. z czego 7.800 m kw. wykorzystanych jest na piwnice mieszkańców. Piwnice zajęte przez Centralę Rybną — PSS, Wój. Ośrodek Szkoleniowy i Eksploatację Dróg Publicznych o łącznej powierzchni około 200 m kw. w minimalnym stopniu użytkowane są przez te przedsiębiorstwa. Pozostałe powierzchnie to puste piwnice i korytarze.

Charakterystyczną jest forma dbałości obecnego użytkownika budynku — w różnych od strony Rynku pustych piwnicach sterty szkła, żelazna i innych odpadków przez wiele lat gromadzonych — na szczątkach ścianek drewnianych piękne okazy grzybka — resztki rozwalonego kominka — piękny arkadowy dziedziniec z kamienną fontanną zasypyany rumowiskiem „śmieciami” (dziedziniec ten jest celem wycieczek krajowych i zagranicznych) — kamienny portal bramy od ul. Szczepańskiej posiada niebezpieczne uszkodzenia spowodowane przez samochody ciężarowe.

Powyższe porównanie dbałości użytkowników, średniowiecznych i dzisiejszych nie przedstawia się więc korzystnie dla dzisiejszych.

Od szeregu miesięcy Stow. Art. „Grupa Krakowska” bezskutecznie stara się przy pomocy Wydziału Kultury Prez. RN droga zamiany i zaciśnięcia piwnic zajętych przez w/w użytkowników — o uzyskanie części tych prawie pustych piwnic dla swoich celów.

W uzyskanych piwnicach Stow. Artystyczne „Grupa Krakowska” ma zamiar stworzyć galerię malarstwa współczesnego, klub dyskusyjny i eksperymentalny teatr.

Niewykorzystane i zaniedbane piwnice znalazłby użytkownika, który by je należycie konserwował.

W odpowiednio urządzonych wnętrzach, zamkniętych zabytkowymi murami i sklepieniami odbierać mogłoby mieszkańcy Krakowa oraz wycieczki krajowe i zagraniczne niecodzienne wrażenia estetyczne, gdyby nie bierność względnie opory ludzi, którym te sprawy są widocznie obojętne.

TADEUSZ KANTOR

FILM

Tragedia na polach ryżowych

„Gorzki ryż” jest filmem sensacyjno-dramatycznym i drugim z rzędu reżyserii Giuseppe de Santis (pierwszy „Tragiczny pościg”) zrealizowanym w roku 1948. Akcja filmu rozgrywa się na polach ryżowych, a treścią są dzieje dwu par młodych ludzi, Francesca (gra ją mało znana aktorka teatralna Doris Dowling) i jej przyjaciel Walter (Vittorio Gassmann) skradli drogocenną kulię i w ucieczce przed pościgiem trafiają na plantację ryżu. Piękna robotnica Silvana (Silvana Mangano) zakochuje się w Walterze i wydaje Francescemu sierzantowi policji Marco (Raf Vallone). Marco jednak nie spieszy się z aresztowaniem Francesci, a tymczasem Silvana ulegając namowom Waltera, decyduje się na kradzież ryżu stanowiącego zarobek robotnic plantacji.



ABC FUTURYZMU

SZTUKI NOWOCZESNEJ

Adam Kotula
Piotr Krakowski

14)

Futuryzm zrodził się we Włoszech jako antytradycyjny kierunek literacki. Był to zarazem antyklerykalny, antyaustracki i panwłoski ruch polityczny, którego ideologia prowadziła do faszyzmu. W „Manifestie futuryzmu” ogłoszonym w paryskim dzienniku „Figaro” z 20 lutego 1909 r. włoski poeta Marinetti, główny teoretyk ruchu, głosił nietzscheański kult siły i kult wojny. „Podstawowym elementem naszej poezji będzie odwaga, zuchwalstwo i bunt — pisał. — Ponieważ literatura opiewała dotychczas pełen zadumy bezruch, ekstazę i sen, my chcemy wysławiać agresywny ruch, gorącz-

kową bezsenność, rytmiczny bieg, karkołomny skok, policzek i cios pięścią... Chcemy stawić wojnę — jedyną higienę świata — militarizm, patriotyzm, destrukcyjny gest anarchistów, piękne idee przez które się umiera i pogardę kobiety”.

Marinetti odrzucał cały dotychczasowy dorobek sztuki na której żeruje która kontynuuje sztukę konformistyczną, oficjalną, akademicką. „Chcemy zniszczyć muzea, biblioteki, wszelkiego rodzaju akademie, zwalczać moralizm, feminizm i wszelkie oportunistyczne i utylitarne tchórzostwo”. Dawnej sztuce przeciwstawił sztukę nową, sztukę przyszłości, zdolną oddać dynamizm współczesnego życia, czerpiącą natchnienie z nowoczesnej cywilizacji i jej zdobyczy. Głosił kult maszyny i kult szybkości. „Oświadczamy — pisał w swoim „Manifestie” — że

wspaniałość świata wzbogaciła się o nowe piękno: piękno szybkości. Samochód wyścigowy, ze swoim pudłem zdobnym w grube rury niby węże o eksplozywnym oddechu... ryczący samochód, który zdaje się pędzić wśród kartaczy, jest piękniejszy od „Nike z Samotraki”... Będziemy opiewać wielkie tłumy podniecone pracą, zabawą lub buntem; wielobarwną i polifoniczną kipieli rewolucji we współczesnych stolicach; nocną wibrację arsenałów i warsztatów w świetle jaskrawych elektrycznych księżyców; żarłoczne dworce, które pochłaniają dymiące węże, fabryki zawieszone u chmur na sznurkach dymów; mosty podobne do gigantycznych gimnastów skaczących poprzez rzeki iskrzące się w słońcu jak błyski noży; śmiały parowiec wąż horyzont; lokomotywy z szeroką piersią, tupiące

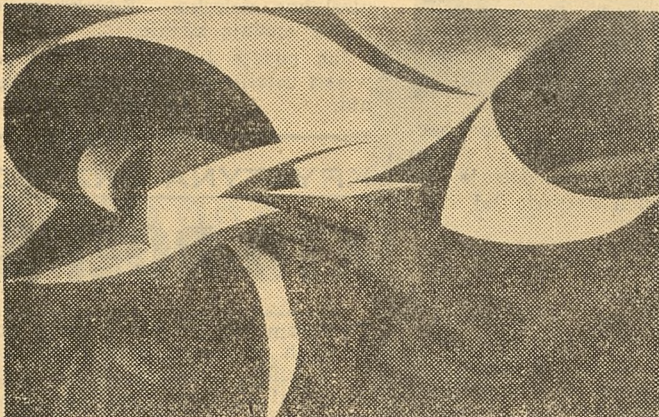
na szynach niby ogromne stalowe rumaki okiełznane długimi rurami; płynny lot aeroplanów, których śmigła łopocze na wietrze jak sztandary i zdaje się klasnąć jak rozentuz, jazmowany tłum”.

Teorie futurystów kształtowały się częściowo pod wpływem estetyki Crocego oraz filozofii W. Jamesa i Bergsona, których prace poruszające zagadnienia trwania i stawiania się, ruchu, zmian, dynamizmu rzeczywistości oddziaływały w pewnej mierze na sztukę z końca XIX i początku XX wieku. Nie pozostał też bez wpływu na zainteresowanie się artystów problemem ruchu rozwój kinematografii oraz poprzedzające ją badania fizjologów, np. doświadczenia Mareya, którego eksperymentalne zdjęcia faz ruchu miały przyczynić się do powstania filmu.

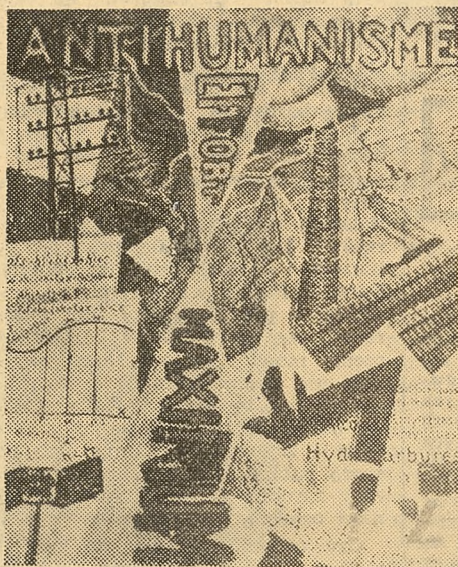
(d. c. n.)



ARDENGO SOFFICI: BAL PEDERASTÓW (1913)



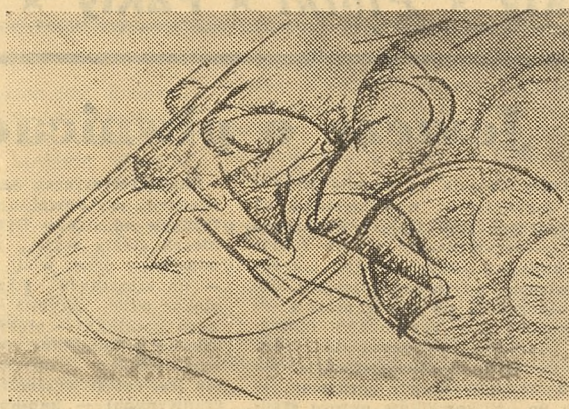
GIACOMO BALLA: POCZĄTEK WOJNY — FORMA STANU DUSZY (1914)



GINO SEVERINI: 14 LIPCA (1915)



G. SEVERINI: PORTRET MARINETTIEGO (COLLAGE), 1913



UMBERTO BOCCIONI — DYNAMIZM ROWERZYSTY (1912)

OBYCZAJE

P O S A S I E D Z K U...

Mój felietonistyczny kolega, znany komik astronauci i znawca, jak twierdzą jego przyjaciele, cybernetyki, uprzedził mnie w ubiegłym tygodniu z felietonem o pisaniu felietonów. Sezon ogórkowy, kiedy wszyscy mają prawo do lenistwa, nam tylko, zrytualizowanym donosicielom tygodnikowych felietonów, nie pozwala na odetchnięcie. Bo przecież pismo musi wychodzić itd. (patrz poprzedni numer „Zdarzeń” str. 2 od góry). Czytelnicy miewają swoich felietonistów, od których zaczynają czytać. Lem ma swoich, ja swoich, i dla tych ostatnich właśnie przeznaczam te ogórkowe rozważania o wielu na raz sprostowaniach, z których nie mam siły wyciągać wniosków. ŻYCIE bowiem, jak to sobie dziś rano uświadomiłem, JEST TO CHLEB Z PRZEMIŁNOŚCI NA MAKĘ KLĘSK. Każdy z nas piszących, oprócz klęsk żywiołowych, rodzinnych, zaopatrzeniowych - ideologicznych, przeżywa także klęski twórcze. To jest stan takich depresji, kiedy cisnąłby do jasnej cholery te pisaniny, zamknął maszynę na klucz albo zaniósł do komisju, a sam zapisał się na zaciąg pionierski. Tylko że z góry można przewidzieć finał takiego eksperymentu: na zaciąg musiałby człowiek trafić szlag, jak trafił już nie jeden tysiąc entuzjastów i ręka sama sięgnęłaby po pióro. Gdy zaś mowa o trafianiu człowieka szlakiem, czy przez szlag, zwrócić się swoją roznieglizowaną myślą w stronę Wielkiego Hałasu, jak napisałby Lem, rozpętanego na skutek opublikowania przez Artura Sandaue- ra krytyki twórczości Adolfa Rudnickiego. Krzyk ten i wrzawa, te

olbrzymie tytuły, te czkawki samokrytyczne różnych Lasotów z okazji świętego artykułu Sandaue- ra — napawają mnie zdumieniem i strachem potrosze. Zdumieniem, ponieważ to co w innych krajach zostałoby uznane za normalną dyskusję literacką, w której myje się głowę pisarzowi już uznanemu, u nas wzięto za hasło do rejtanowych gestów. Cóż to takiego uczynił Sandauer? Powiedział, że Rudnicki (Adolf) jest Mniszkówną naszych czasów. Mniszkówna zaś była swego czasu niezmiernie popularna. Rudnicki jest także popularny. Można z tego wyciągnąć logiczny wniosek: jeżeli A jest B i C jest B, to A jest C. Ale w tym miejscu zaczyna się już moja złośliwość. Sandauer pisze także o szeregu innych zalet pisarstwa Rudnickiego... Nie analiza wszelkie Sandauerowego tekstu ma być tematem dnia dzisiejszego, lecz reakcja piszącej publiczności. Która się oburzyła. Która się przestraszyła. Że najpierw oberwał Rudnicki, to może oberwać na przykład Zukrowski, który siedzi w Indiach, Breza, który siedzi w Italii, czy powiedzmy... ale tych co siedzą w kraju, lepiej nie wymieniać. Ma się przecież tę zonę i dzieci...

A był w Polsce czas, czasy zgola w liczbie mnogiej, kiedy krytycy strugali kółki na głowie pisarzy znakomitych (Brzozowski Sienkiewiczowi, Irzykowski Boyowi i vice versa, Irzykowski Słonimskiemu i setce innych, Słonimski Irzykowskiemu, a cała reszta sobie nawzajem) i bynajmniej ani słowa ciotanych na tym procederze nie ucierpiała, a wręcz przeciwnie. Jak się dowiaduję, szereg osób, z któ-

rymi miałem okazję przed laty rozmawiać o twórczości Rudnickiego, teraz sięga po jego książki. Ponieważ przedtem znali je tylko ze słyszenia i recenzji. Już to tak bywa z popularnymi: wie się o nich i pytuje, ale się ich nie czyta. Żaden polski snot nie przyzna się, że nie czytał „Żywego i Martwego Morza”, bo nie wypada. Teraz zaś, gdy Sandauer wykrył szereg szpar w tym kanonizowanym suficie — snoty rzuca się, by wykryć jeszcze tuzin. A Rudnicki i tak zostanie. Ze swoim deficytem w remanencie zwanym TALENT. Osobiście nie kocham ani jego prozy fabularnej (choć Sandauer twierdzi, że Rudnicki to antytalent fabularny), ani tym bardziej „Niebieskich kartek”, które uważam za przemądrzałe i dęte, pisane właśnie z pozą narcyza. O czym świadczyły listy zakochanych w autorze pensjonarek, które (listy a nie pensjonarki) czasami skwapliwie przedrukowywał. Lecz kiedy w gronie studentek polonistyki odważyłem się krytycznie wyrażać o tej, znakomitej być może, twórczości, zostałem obwołany zarozumiałcem. Bo wokół Nazwiska wytworzyła się taka aura, że każdy, a nie daj Bóg, sam piszący, ośmielał się powiedzieć: nie podoba mi się — narażał na szwank swoje dobre, jeśli je posiadał, imię. I dlatego jestem głęboko wdzięczny Arturowi Sandauerowi za ten odważny występ. Jest bo w Polsce dziwna zgola atmosfera, którą znakomicie zużytkował właśnie Rudnicki; atmosfera uwielbienia dla twórców, wokół których robi się odpowiednią reklamę. Widać to nawet z listów, które otrzymują oni od

czytelników. Nigdy nie ma tam innego nagłówka, jak tylko „Mistrzu”, „Mój Poeto”, „Genialny” itd. Ci faceci nie znoszą, gdy się ktoś odważy obnażyć ich Bóstwo. Albowiem obnażając Bóstwa, chcą nie chcą, obnaża się także Gusta Ich Czytelników. To zaś jest niebezpieczne. I dlatego Rudnickiego teraz zacznie się czytać.

Zaś tzw. świat pisarski przeląkł się Sandaue- ra, ponieważ ten zapowiedział dalsze eseje z cyklu „Bez taryfy ulgowej”. Stąd ten hałas, stąd te pienia obrończe, stąd gromy na rasową głowę Sandaue- ra. Ale co najdziwniejsze, to śmieszawy fakt, iż wszystkie pisma ubiegają się dziś o kolejne publikacje Sandaue- ra, gdy, jak wiadomo, niektóre z nich nie skorzystały z możliwości publikowania pierwszego. Ale nie ludźmy się: teraz chodzi wyłącznie o nakład...

Nie masz w Polsce dyskusji literackich, czasem tylko Flaszen u- zgodni z Błońskim atak na Błońskiego, a Błoński z Flaszenem atak na Flaszena. Żeby było wesele i żeby ludzie nie zapomnieli ich nazwisk. Bo chłopaki są ambitne i wiedzą, jak reaguje giełda literacka. Której pamięć nie należy do mocnych...

Czasem inny krytyk z tej szkoły, Kijowski wsadził początek swego nazwiska w mrowisko (urojone) i potem odzywają się także (urojone) repliki paru mniej leniowych. A poza tym wszystko jest O. K. Brandys znowu na tapecie, bo jego pozytywna bohaterka pija wódkę ze zgryzoty, Miron Białoszewski

opublikował w „Nowych Sygnalach” kilka wierszy, których sam nie rozumie, bo gdyby rozumiał, to by nie publikował, a gdyby żył Irzykowski, napisałby felieton o Zarozumiałych Niezarozumiałcach. Ale nie ma Irzykowskiego. Jest Greń, ale to jednak troszku przy- mało...

Ot i prawie wszystko co słychać po sąsiedzku. Pardon. Jeszcze Harasymowicz, bo jakże by bez niego. Zapowiedział trzeci tom wierszy o kotach i o świętych.

*

Proszę Państwa. Nie napisałem Felietonu o Pisaniu Felietonów. Natomiast z konstrukcji niniejszego wynika jasno że co innego zamierzalem, gdm siedał do maszyn, co innego zaś wyszło. Dlatego pozwolę sobie, wprow zapowiedzi, wyciągnąć z tego faktu wnioski. A więc: 1) nie da się nie pisać felietonów o rzeczach, które najbardziej człowieka przypiekają. 2) Artur Sandauer jest odważny ponieważ sam nie mógł zostać Twórcą Oryginalnym. 3) Lato jest jednak piękne i szkoda, że się kończy. 4) Stanuje bardzo Stanisława Lema, czego dowodem jest fakt iż napisałem kilka słów z Dużej Liter, ściągając w ten sposób z Niego, jak uczynił to On, ściągając z kogoś Zupełnie Innego niż Lem. Co rzekłszy klaniam uniżenie i — do następnych „Zdarzeń”.

BOHDAN DROZDOWSKI

DYWAN Z BAYEUX

ARRASY WAWELSKIE

Dr GUSTAW GROEGER

Wojna totalna zrodziła w odpowiedzi na jej barbarzyńskie cele i jej groźbę totalnego zniszczenia — konieczność obrony i obowiązek państwa i jego organów do zabezpieczenia w miarę możliwości wszelkich zabytków kulturalnych, zbiorów muzealnych itp. przed ich zniszczeniem, czy wywiezieniem przez wroga prowadzącego wojnę totalną.

Tak też postąpiły w czasie II wojny światowej i napaści Hitlera na Polskę i na Francję oba te kraje tj. tak Francja, jak i Polska.

W Polsce w ostatniej prawie chwili przed wybuchem wojny, tj. na kilka dni przed napadem Hitlera na Polskę wywieziono i ukryto szereg dzieł sztuki, żeby wymienić tylko najważniejsze, jak ołtarz Mariacki Wita Stwosza, obrazy Matejki i słynne arras wawelskie zakupione swego czasu przez króla Zygmunta Augusta.

Podobnie we Francji ukryto wiele przedmiotów z Muzeum w Luwrze, a szczególnie tzw. „Dywan z Katedry w mieście Bayeux, w Normandii. Dywan ten przedstawiał inwazję i najazd Normanów na Anglię w roku 1066.

Niemcy po zdobyciu Francji w 1940 roku, rzeczywiście poszukiwali i chcieli odnaleźć powyższy dywan z Bayeux, bo chcieli go użyć dla swej propagandy, w planowanej przez siebie inwazji na Anglię.

Dywan z Bayeux byłby stanowić znakomitą propagandą dla tego niebezpiecznego i niełatwego przed-

różnych kolorach. Dywan ten posiada nadto wielkie znaczenie historyczne dla astronomji gdyż jest na nim przedstawiona scena obserwowania Komety Haleya, która w roku 1066 po raz pierwszy ukazała się w Europie. Prócz tego dywan jest historycznym dowodem że rycerstwo francusko-normandzkie używało już około roku 1066 siodeł i strzemion oraz lancy w celu zrzućcia przeciwnika z siodła.

W XVI wieku dywan został gdzieś w katedrze zarzucony i zapomniany po pewnym czasie w ogóle o jego istnieniu. Dopiero w 1732 r. odnaleziono szkic dywanu pomiędzy manuskryptami, znajdującymi się w bibliotece katedry. Zaczęto przeto szukać samego dywanu i benedyktyn ojciec Bernard le Monfaucon, odnalazł wreszcie dywan na strychu Katedry.

Podczas rewolucji francuskiej dywan dwukrotnie zagrożony był zniszczeniem. Raz w roku 1792 ochotnicy z Bayeux poszukując nakrycia na wóz naładowany bronią zdecydowali, że dywan do tego celu najlepiej się nada i już mieli go pociąć na kawałki. W ostatniej jednak chwili, jakiś ochotnik nie dopuścił do tego wandalizmu, wóz nakryto czym innym i dywan ocalał.

Kilka miesięcy później przy okazji święta „Bogini Rozumu” zaproponowano, aby pociąć dywan na kawałki dla udekorowania wozu triumfalnego „Bogini Rozumu”. Znowu jednak jakimś cudownym zdarzeniem dywan uniknął pocięcia.



Scena obserwowania komety Halleya, uchodzącej za dobrą wróżbę dla udania się inwazji Wilhelma Zdobywcy na Anglię.

sięwzięcia Hitlera, i dlatego Hitler nakazał za wszelką cenę odnaleźć ten ukryty dywan. Nie udało mu się to jednak, tak jak nie udało mu się sama inwazja na Anglię.

Dywan po wyparciu Niemców z Francji wydobyty z ukrycia w schronie jednego ze starych zamków południowej Francji, powrócił na swe dawne miejsce do Katedry w Bayeux.

Dywan z Bayeux, choć jest sławnym zabytkiem sztuki średniowiecznej jest w Polsce bardzo mało znany i nigdy nie był tu w całości reprodukowany.

Dywan z Bayeux jest to raczej makata haftowana na grubym białym, żaglowym płótnie. Makata ta przedstawia najazd Normanów na Anglię z r. 1066. Dywan z Bayeux, który będziemy nadal nazywać dywanem, a nie makatą, gdyż tak utarło się tradycyjne nazywanie jego na świecie, ma przeszło 70 metrów długości, a przeszło 50 centymetrów szerokości.

Dywan przedstawia historyczną scenę napadu Normanów na Anglię, ówczesnego króla angielskiego Edwarda, następnie po jego śmierci wybór i ukoronowanie królem Harolda, lądowanie okrętów Normanów i wojsk w Anglii i bitwę z wojskiem angielskim pod Hastings. Te sceny historyczne są obramowane od dołu i od góry szlakami wzorzystymi przedstawiającymi postacie ludzkie, różne fantastyczne, i mityczne zwierzęta oraz wplecione między nie motywy z bajek Ezopa i Fedrusa.

Postacie te, jak i wszelkie sceny historyczne wyhaftowane są w ośmiu

Dr GUSTAW GROEGER

REDAGUJĄ CZYTELNICZY

Rozmowy z Czytelnikami

J. KRZYŻANOWSKI, OŚWIECIM, Osiedle Robotnicze. Oczywiście, że miało być: „nad polską Sekwaną”. Nasz adres: Kraków, Wielopole 1. Dziękujemy za miłe pozdrowienia.

W. G., KRAKÓW. Ma pan rację, więcej nie będziemy podawali skrótów. Aby konkurs spełnił zadanie poważniejsze, poczęliśmy od nr 13 „Zdarzeń” zamieszczać pytania pozakonkursowe natury trudniejszej. Prosimy o współpracę.

MIECZYSLAW ZARASKA, KRAKÓW, Pychowice 38. Za nadesłane pytania dziękujemy. Niektóre z nich wymagałyby w odpowiedzi osobnego artykułu (np.: Czy Polska przy lepszej i bardziej nowoczesnej gospodarce rolnej może być samowystarczalna w produkty rolne).

Lista nagród w stałym konkursie

- 1) Jacek Farend, Toruń (odkurzacz elektryczny);
 - 2) Władysław Borek, Kraków (lampa elektryczna biurowa)
 - 3) Stanisław Zawrat, Krosno (teczka skórzana)
 - 4) Hanna Dobrowolska Sarnok (budzik marki zagr.)
 - 5) Tadeusz Mazgaj, Łódź (długopis marki zagranicznej)
 - 6) Bożena Konopacka, Kraków (portfel skórzany)
 - 7) Paweł Karol, Katowice (wieczne pióro)
- Książki wygrali: Wojciech Borzemski (Zakopane), Bartłomiej Wardęga (Kraków), Michał Bruzda (Kraków), Stanisław Madeja (Szczecin), Leon Kaprański (Rzeszów), Michałina Krzyk (Olsztyn).

„LAJKONIK” i redakcja „ZDARZEN”

ogłaszają

KONKURS

na hasło reklamujące grę liczbową „Lajkonika”

Pomysły należy nadsyłać do redakcji Zdarzeń Kraków Wielopole 1 do dnia 24 VIII br. Za najlepsze hasła będą przyznane trzy nagrody ufundowane przez „Lajkonika” a mianowicie:

- 1 nagroda: Wodoszczelny zegarek francuski „HERMA”
- 2 nagroda: teczka skórzana
- 3 nagroda: pióro wieczne

W skład jury oceniających nadesłane hasła wchodzi przedstawiciel redakcji „ZDARZEN” i „LAJKONIKA”.

Prócz trzech nagrodzonych haseł dyrekcja „Lajkonika” zastrzega sobie prawo wykorzystania innych haseł nadesłanych przez czytelników, przy czym, za każde zaaprobowane do wykorzystania propagandowe hasło będzie wypłacone 100 złotych.

Dla lepszego zorientowania Czytelników podajemy hasła, które nadesłano na konkurs Liczyrzepki wrocławskiej:

„Szczęście ci po piętach depce
Zagraj tylko w Liczyrzepkę”

Prócz wymienionego Konkursu „Lajkonika” i redakcja „Zdarzeń” ogłaszają następujący Konkurs:

Ile padnie czwórek w XX jubileuszowej grze „Lajkonika”

Odpowiedzi należy nadsyłać na adres redakcji „Zdarzeń” do dnia 19 VIII. Wśród osób, które zgadną liczbę czwórek, będą rozlosowane następujące nagrody: 1) 100 kuponów Lajkonika, 2) 75 kuponów, 3) 50 kuponów

Czysta eks-sportowa

Podróże kształcą — ale kogo?

Wiem, że to może być nudne. Nudne i oklepane. Niektórzy pomysł zapewne, że brakło mi tematu — i dlatego powracam do spraw dawno odkrytych. Co więcej, wywalając otwarte drzwi — mam czelność jeszcze mówić o tym wprost, a nawet krygować się z wdziękiem podstarzałej taneczniczki — i szukam ścieżki obok gościńca, po którym jeździły grzmiące pojazdy z towarami, jakim przekornie załadowałem swój plecak podczas pieszej wędrowki. I na domiar wszystkiego — po tułaczku zamierzam ową zawartość plecaka wypakować wobec Czytelników, jako niespodziankę.

Nie jesteście przecież aż tak naiwni, żeby Was bezkarnie nabierać! Nie uwierzcie w żadną niespodziankę, gdy zacznę po kolei prezentować Wam ładunek mojego plecaka. Pokiwacie głowami, co najwyżej zdumieni brakiem wstępu i przyzwoitości ze strony felietonisty, który usprawiedliwiająć się ze skruszą — popada w dawne grzechy... Kpi, czy udaje?

Ale felietonista znalazł się w tym samym położeniu. Czytał uważnie prasę sportową, po czym zwichrzywszy bujne kędziory — zamyślił się nad pytaniem: — kpią, czy udają naiwnych?

Aha, prawdopodobnie przy całej jasności tego zapytania — nie wyjaśniłem jeszcze kogo i czego ono dotyczy. Z uwagi na to, że felietony niniejsze posługują się jakże często pretekstem sportowym — można by w sposób nie pozbawiony bystrości określić ich charakter. Rzecz ma być o sporcie. Będzie!

Panie, panowie, obywatela, towarzysze! Jakże wydarzenia sportowe wysunęły się ostatnio na tzw. czoło? — Lekkoatletyczne! Pewnie. Lud (lekkoatletyczny) potęgą jest — i basta! Teoretycy ze „SPORTU” obliczyli nawet, że mecz z

ZSRR zakończyłby się rezultatem nie rozstrzygniętym (106:106). Być może! Za rok nie oprze nam się USA. Hej, kto Polak!... A potem — zawrót głowy od sukcesów. „Wunderteam” nie miałby już przeciwników. Chyba reprezentację kontynentu, a może kontynentów? — Atomowi lekkoatleci zmuszeni do ofiarowania superhandicapu każdemu kontrpartnerowi! Hej! Nasz model LEKKIEJ atletyki wspomagałby później CIĘŻKI przemysł — itd. stylem łańcuszkowym.

Zalewa mnie fala wzruszającego optymizmu. Przynajmniej w c z y m i s liczone by się z nami! — Cóż, kiedy nie jestem skrajnym optymistą. A nawet wyobraźni mi nie starczy, by snuć dalej te oszałamiające perspektywy. A więc — dlaczego?

Bardzo się ucieszyłem czytając pewne doniesienia z prasy sportowej. Doniesienia, powiedzmy — raczej smutne. Taki już jestem, że szukam r ó w n o w a g i zdarzeń. Proszę tego nie traktować, jako przy pochlebego gestu pod adresem redakcji ZDARZEN! Równowagę przyniosły komunikaty z występów naszych sportowców zagranicą. Naturalnie, p o z a lekkoatletami...

Tu właśnie jest przystawowy pies pogrzebany. Bo:

upajamy się w y j a z d a m i i sukcesami lekkoatletów, które ZASŁANIAJĄ niepowodzenia i zbędne wojaże całego szeregu innych grup sportowych. Np. z wielkim szumem wystąpiliśmy nasze dziewczęta na mistrzostwa w piłce ręcznej. Wycieczka ładna (do Jugosławii), kosztowna (dla państwa) — a efekt? Aż przykro pisać. Choć, podobno — marzyły nam się laury... DROGA nauczka. Ale ktoś chciał się przejechać za darmo. Wyniki były mu obojętne...

Albo — obsadziliśmy kilka turniejów zagranicznych tenisistami.

Miernymi i nie młodymi. Po co? Żeby pokazać Polskę, co to jeszcze nie zginęła... w tenisie? Za wszelką cenę? Nie dziwię się, iż ZERAN bagatelizuje 2 miliony dolarów — skoro w y r z u c a m y zarobione na eksporcie dewizy z pośpiechem i bez zastanowienia...

Gdzieindziej wyprawiliśmy kołarzy. Młodych. Obiecujących — sukcesy. Obiecywali, lecz byli ostatni. Powie ktoś, że spisaaliśmy się b. dobrze w Wyścigu Pokoju. Tak! To też — zaraz musieliśmy ów kredyt utracić. I pieniążki również. Bo mamy ich wbród!

A koszykarze? Też nie od małocochy. Nikt się już nie dziwił, ponieważ kosze są b e z d n a... Dewizy wpadły — i wyleciały... O footballistach nie wspominałem, żeby się nie powtarzało. I o żużlowcach, lub o wioślarzach...

Ej, zakrzykniecie: cóż to za CZARNE okulary? Z przegrana każdy sportowiec musi się liczyć! A musi. To jasne. Nie m u s i, jednak po to wyjeżdżać zagranicę.

Od czego, właściwie, są trenerzy i Wielkie Urzędy Sportowe? Ci którzy decydują — powinni z n a c faktyczny stan danej dziedziny sportu. Po prostu — nie stać nas na TRWONIE dewiz. Niech nam ZWYCIĘSTWA lekkoatletów nie zacierają PORĄŻEK reszty sportowców! Porażek prestiżowych i finansowych. Uczmy się u siebie, sprowadzajmy zagraniczne zespoły, ściągajmy pieniądze od widzów w kraju. TO TANIEJ I REALNIEJ.

Miejmy oczy otwarte. Posytajmy do obcych krajów t y l k o tych, których p o z i o m gwarantuje przyzwoite wyniki! Nawet, gdyby Urzędnicy i dziennikarze sportowi, jako ekipy towarzyszące zbyt licznie wyjazdowi zawodników — poculi się obrażeni. Obraża przynajmniej n i e k o s z t u j e...

JERZY BOBER

TADEUSZ KWIATKOWSKI

NIE MA ZABAWY bez PANA WŁADZIA

(10)

— Wolalabym żebyś stracił głowę
— Teraz wszystko zależy od ciebie. Mało znam Kraków, a w pociągu miałem zarezerwowane miejsce sypialne.
Jolka uśmiechnęła się z przekorą.
— Nie zostałeś przecież żeby spać?
Parkanowski uściśnął mocniej jej rękę i przyłożył się uważnie do tańca. Gdy wrócili do stolika Mazurkiewicz rzekł z zatroskaną miną.

— Już pan chyba nie zdąży.
— Otóż Mundek zostaje — oświadczyła z tryumfem Jolka.

Mazurkiewicz podniósł palec do góry.
— Oj, bo będę zazdrosny.
— Nic się pan nie bój — Parkanowski klepnął Mazurkiewicza w ramię. — Wszystko zostaje w rodzinie. Polacy to jedna rodzina. Trzeba się tylko trzymać.
— No to napijmy się — klasnął w dłonie Mazurkiewicz.

Parkanowski przyjrzał mu się i odparł kategorycznie.

— Zmieniamy lokal.
— Możemy iść do Feniksa — zawołała Jolka — zobaczymy jak się tam bawia.
Parkanowski podał jej ramię. Mazurkiewicz przeciskał się za nimi pomiędzy stolikami. Tu i ówdzie siedzieli znajomi.
— Serwus Władku! — witano go wszędzie przyjaźnie — Napij się z nami.
Mazurkiewicz rozkładał ręce i pokazywał idącą przed nim parę.

— Jestem w towarzystwie.
Na ulicy Jolka ujęła ich pod ramiona. Szybko przebiegli ulicę św. Tomasza i skręcili w Jana. Z daleka słychać było orkiestrę. Portier nie chciał ich początkowo wpuścić, lecz gdy zobaczył Mazurkiewicza otworzył drzwi.
— Mamy już komplet — ostrzegł ich grzecznie.

— Jakoś się ugnieciemy — roześmiała się Jolka.

Na sali panował półmrok dla dodania nastroju argentyńskiemu tangu. Dobrnęli do baru. Sympatyczna barmanka uśmiechnęła się na widok Jolki. Stanęła z boku przy wysokim kontuarze baru.

— Pani Mario, trzy czyste i ogóreczka. — Jolka podniosła trzy palce.

Pani Maria napeniła im kieliszki i podała na talerzyku ogórek przycięty w plasterki.

— Dawno pani nie widziałam — powiedziała poprawiając śnieżno biały kołnierzyk przy czarnej sukni.

— Ustatkowałam się — mruknęła Jolka.
— To jeszcze raz trzy — rzucił Parkanowski opróżniwszy kieliszek.

Mazurkiewicz korzystając z chwili nieuwagi ze strony swych towarzyszy zręcznie wylał wódkę na podłogę. Natomiast ogórka przekąsił z apetytem.

— Tańczymy mała — Parkanowski wziął Jolkę i poprowadził na parkiet. Mazurkiewicz oparł się łokciem o bar i palił papierosa.
— Bardzo mi się ta pani podoba — zagadnęła go pani Maria.

— Mnie też — potaknął Mazurkiewicz nie spuszczając wzroku z tańczących.

— Jak się masz Władku? — ze stołka barowego zesunął się pijany młodzieniec i przycepił się do Mazurkiewicza. — Co jest? Gdzie się ukrywasz? Napij się wódki? Czemu masz twarz pofalowaną na smutno? — zadał wiele pytań nie czekając nawet na odpowiedź.

Mazurkiewicz podał mu dłoń.

— A ja ci mówię że bawię się na całego. Dwudniowy ochłaj z powodu rodzinnej roboty. Nie chciała mi kobieta powiedzieć gdzie była, to ja jej teraz zniknąłem. Wiesz, dwa dni absolutnej abstynencji od domu. Zobaczysz jak mnie później będzie kochać. Bracie, z babką zawsze tak trzeba. Inaczej nie nauczysz. A myślisz że dzisiaj wrócę? Grubo się mylisz Władeczku. Nie wrócę. Ani jutro nie wrócę. Żeby nie wiem co, nie wrócę. Czy ty wracasz? Nie bądź frajer-szczak. Nie wracaj. Napijmy się, stawiam. Jeszcze mam coś w portfelszczaku. — klepnął się po tyłnej kieszeni od spodni.

Mazurkiewicz słuchał wynurzeń pijanego znajomego ze znudzoną miną. Wreszcie zniecierpliwiony monotonna litaniją pijaka skrzywił się z niesmakiem. Młodzieniec cofnął się o krok i krzyknął.

— Nie podobam ci się, co?
— Daj spokój. Podobasz mi się.
— A wódki się napijiesz ze mną?
— Nie piję.
— Oczywiście — pijany wyrzucił ręce ponad głowę i chciał runąć na Mazurkiewicza, lecz w tej samej znalazł się tuż obok nich

Parkanowski, który wrócił z Jolką po skończonym tańcu i chwyciwszy młodzieńca za kołnierzyk odstał go na bok. Sam zaś przepuścił przed sobą Jolkę i zasłonił swoim ciałem Mazurkiewicza. Pijak pomruczał coś jeszcze płatając się poza plecami Parkanowskiego, lecz czuł wyraźny respekt przed jego potężną postacią.

— Pijemy — zatarł ręce Parkanowski obejmując wpoł Jolkę. — pani da nam trzy wódki — zwrócił się do barmanki.

Mazurkiewicz zamaczał usta w kieliszku, lecz Jolka zmusiła go by wypił do dna.

Po jakimś czasie zwolniły się dwa stoliki barowe i Jolka wraz z Parkanowskim zajęły je przekomarzając się na temat który z panów lepiej tańczy. Jolka twierdziła że im jeszcze dużo brakuje do prawdziwej doskonałości. Parkanowski natomiast uważał że tańczy wspaniale. Mazurkiewicz przeprosił ich i wyszedł do garderoby. Jolka widząc że długo nie wraca przykazała Parkanowskiemu strzec miejsca i pod pozorem poprawiania fryzury udała się w ślad za nim. Natknęła się na Mazurkiewicza w kącie garderoby przy telefonie.

— Władku, dlaczego uciekłeś?
— Głowa mnie boli — powiedział smutno.
— Chodźmy już. —
— Nie, jeszcze nie.

— Słuchaj, Mundek jest pijany. Jeszcze trochę a będzie żądał żebym się z nim prześpała — Jolka powiedziała to z zamiarem postraszenia Mazurkiewicza. Wbrew jej przewidywaniom Mazurkiewicz nie oburzył się.

— No, nic wielkiego — powiedział pocierając sobie delikatnie skronie.

Jolka rozejrzała się czy ich ktoś nie podsłuchuje i wycedziła.

— Czyś ty zwariował? Chcesz żebym poszła spać z Parkanowskim? I ty nic na to? Chcesz ubić interes mając mnie za przynętę?

Mazurkiewicz zrobił minę cierpiennika.

— Przesadzasz. Niczego takiego nie powiedziałem.

— Ale ja wiem co myślisz. Nic z tego. Idę sama do domu.

— Jolka, opanuj się. Przyznając że zależy mi na Parkanowskim. I ty mi musisz pomóc, Nie pożałujesz tego.

Jolka zagryzła wargi. Odrzuciła głowę do tyłu i powiedziała suchym głosem.

— Ja śpię z tymi z którymi mi się podoba. Nie potrzebuję jeszcze alfonsów. Teraz już wiesz co o tym wszystkim sądzę.

Określiła się na obcasie i poszła do baru. Mazurkiewicz odłożył słuchawkę telefonu i pobiegł za nią.

— Jesteś nareszcie — wykrzyknął Parkanowski — sądziłem że już nawiałicie. Miałem się zemścić.

— Ja? Nawiać od ciebie? — zachichotała Jolka — przenigdy. Ty jesteś tu jedynym mężczyzną, na którego warto zwrócić uwagę. — Spojrzała dumnie na Mazurkiewicza, który stał obok i zaczęła coś szeptać do ucha Parkanowskiemu.

— A on? — Parkanowski pokazał palcem na Mazurkiewicza.

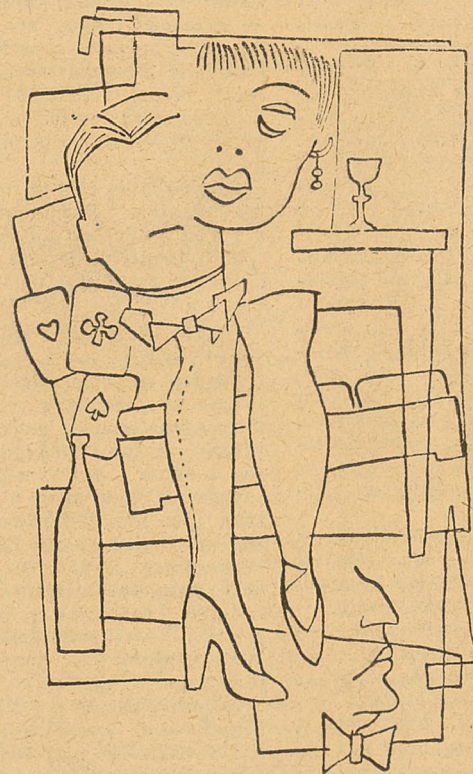
— Nie liczy się — zaśmiała się nonszalancko.

Parkanowski pocieszył Mazurkiewicza.

— Nie martw się. Z babkami zawsze tak. Wczoraj ty, dziś ja.

— Głupsi! — zełostościła się Jolka — chodź — ściągnęła go przemocą z krzeselka. Parkanowski jedną ręką regulował rachunek a drugą obejmował Jolkę.

— Cześć — przyłożył potem palec do czoła żegnając Mazurkiewicza. Jolka uwolniła się na sekundę z jego objęcia i nachyliwszy się do Mazurkiewicza powiedziała z rozgoryczeniem.



— Oj, Władku, Władku.
Mazurkiewicz pocałował ją w dłoń i zdążył jej jeszcze powiedzieć.

— Jutro przyjdź z nim o jedenastej do Europyjskiej. Koniecznie.

Jolka westchnęła i skinęła głową.

— Przyjcie.

Parkanowski uderzył go w plecy.

— No, stary, spóźniłem się na pociąg przez ciebie.

— Nie moja wina — uśmiechnął się Mazurkiewicz i spuścił oczy, gdyż napotkał pełen goryczy wzrok Jolki.

III.

Była dziesiąta rano, gdy dzwonek do drzwi obudził Jolkę. Na polu jeszcze nieprzytomna wsunęła nogi w pantofle i okryła się szlafrokiem. Odsunęła firankę. Jaskrawe słońce wtargnęło do pokoju. Przymknęła oczy ziewając. Na drugi dzwonek pobiegła do przedpokoju. W drzwiach stał uśmiechnięty Mazurkiewicz.

— Jak się masz? — pocałował ją z galanterią w rękę. Był świeży, wypoczęty i pachniał wodą kolońską. — Sądzę że nie przyszedłem zbyt wcześnie?

— Wcześniej? — Jolka wzruszyła ramionami. — Przyszedłeś o jedną noc za późno.

— No, no, Jolka! — chciał ją pocałować w policzek, ale cofnęła głowę. Otworzyła szeroko drzwi do pokoju. Mazurkiewicz zobaczył na tapczanie śpiącego Parkanowskiego.

— Muszę go zbudzić! — powiedział z uśmiechem.

Jolka założyła ręce na piersiach opierając się o framugę drzwi.

— Jak widzisz przenocowałam go, tak jak sobie tego życzyłeś — w jej głosie brzmiała ironia.

— Bardzo ci dziękuję. Z hotelem byłby kłopot.

— Nie, on miał pokój w hotelu.

— Przepraszam cię w takim razie. Nie wiedziałem o tym.

— Tu mu było wygodniej! — Jolka nie spuszczała wzroku z Mazurkiewicza.

— Zapewne. Te nasze hotele...

— Nie, tu było wygodniej tobie żeby on spał.

Mazurkiewicz spojrzał na Jolkę.

— Nie rozumiem.

— Nie rozumiem? Przecież chciałeś go mieć pod ręką?

— Ach, tak — zaśmiał się niewyraźnie Mazurkiewicz. — Oczywiście. Mam do niego ważną sprawę. Przepraszam cię stokrotnie za kłopot. — Zbliżył się niej — Jolciu, wynagrodzę ci to stokrotnie.

— Już mi wynagrodziłeś — pokazała na Parkanowskiego, przytulonego jak dziecko do poduszki.

— Gniewasz się na mnie?

— Nie! — powiedziała ostro — Nie gniewam się. Zabierz go sobie.

— Chciałbym ci wyjaśnić...

— Proszę cię zabierz go sobie jak najprędzej! I idźcie sobie. — zaciśnięta pięści.

Mazurkiewicz wzruszył ramionami i zabrał się do budzenia Parkanowskiego.

— Halo! — potrząsnął go za ramię.

Śpiący otworzył oczy i wybełkotał kilka słów bez sensu. Kiedy Mazurkiewicz prawie przemocą posadził go na tapczanie złapał się za głowę.

— Gdzie ja jestem?

— U swoich! — oznajmił grzecznie Mazurkiewicz.

Parkanowski na widok Jolki złożył ręce jak do modlitwy.

— Rany! Dopiero teraz wiem co jest. Spóźniłem pociąg. I ty byłaś taka dobra... co?

— Byłam dobra! — odpowiedziała krótko Jolka. — Tam jest łazienka — wskazała głową na drzwi w korytarzu.

Parkanowski owinął się kołdrą i kilkoma skokami dopadł do łazienki. Mazurkiewicz usiadł na fotelu pod oknem. Zapalił papierosa. Milczeli. Jolka stała nadal nieruchomo. Z łazienki dochodził głośny bulgot wody. Mazurkiewicz unikał jej wzroku i patrzył na kamienicę po przeciwnej stronie ulicy. Jakiś mężczyzna siedział na oknie i opalał się do słońca.

Zadzwonił telefon, Jolka podeszła do aparatu.

— Tak, to ja. Tak, już wstałam. Nie, nie pójdę. Dlaczego? Jakoś dzisiaj nie mam ochoty. Nic się ze mną się stało... Widziano nas? — Jolka rzuciła ukradkowe spojrzenie na Mazurkiewicza. — A tak byliśmy... Sztuka dobra. Radzę ci iść... O, zupełnie przypadkowo... No, to ci gratuluje... Będziesz miała sporo wolnego czasu... Nie, ja chyba dzisiaj nie wyjdę z domu... To budź podejrzenia? Moja miła, zechciej zrozumieć, że nie czuję się dobrze... Ja wiem, że jak mąż wyjeżdża otwierają się horyzonty, ale ja te horyzonty mam codziennie. I niestety... To zadzwonił Władku...

Mazurkiewicz z grymasem zniecierpliwienia machał ręką aby dano mu spokój. Jolka z tryumfującym uśmiechem odwróciła się od niego i prowadziła rozmowę nadal.

— Władku ci nie odmówi. To przecież dżentelman... Pójdziecie najpierw do teatru, później do nocnego lokalu, później... Nie, ja nie... Żałujesz bardzo? Miła jesteś... Ach, to można inaczej urządzić. Pochodzisz trochę po Krupniczej i kiedy on zajdzie żeby zmienił przy kierownicy ucznia, spotkacie się niby przypadkiem i od słowa do słowa umówicie się. Musisz sobie umieć zorganizować życie jeśli uważasz że nie wypada ci dzwonić do niego i oświadczyć: mam czas, spędź go ze mną... Ależ nie ma za co. Tak robią wszystkie kobiety mające tak zwaną ambicję... No to zadzwonił jeszcze... Możesz być pewna, a ja się w takich rzeczach nie mylę... Całuję cię... Bardzo ci w niej do twarzy. I jemu się będzie podobać. On jest czuły na kolory. Raczej ten ciemny. Oslania czoło co daje zawsze pewien efekt tajemniczości... Buty zawsze masz piękne... No, całuję cię. Miła jesteś, że zadzwoniłaś. Do widzenia... Nie, nie wyobrażam sobie, że jesteś zazdrosna, wiesz przecież, że Władku... Nie jest się pewnym, ale jednak kobieta zawsze wie czy może liczyć na mężczyznę... Czy będzie wyspany? Sądzę, że tak. Przecież pożegnaliśmy się... — Jolka spojrzała przez ramię na Mazurkiewicza, który nerwowo stukał pal-

cami po poręczach fotela — o godzinie drugiej w nocy. Przysięgam ci, że nawet mnie nie odprowadził... Nie, to nie nieładnie z jego strony. Ja miałam swoje towarzystwo... Tak jakoś się złożyło, że miałam swoje towarzystwo... Całuję cię. Bądź zdrowa... tak, tak, tak... — Jolka odłożyła słuchawkę i chwilę trwała bez ruchu z ręką na aparacie.

— Już wszyscy wiedzą, że byliśmy w teatrze — Mazurkiewicz zerwał się z fotela. — Cóż to za miasto. Kichnąć nie można.

— Dzwoniła Zuza — powiedziała beznamiętnie Jolka.

— Domyśliłem się. Kamaszowski wyjechał do Warszawy i jego małżonka chce zażyć wolności — chodził po pokoju żywo gestykulując.

— Zatem ty wiesz wszystko co się dzieje u Kamaszowskich?

— Kamaszowski tego nie ukrywał!

— A czyż ty miał zamiar ukryć nasze pójście do teatru?

— Ach nie! Nie rozumiesz o co chodzi.

— Tak, ja jakoś ostatnio nic nie mogę zrozumieć.

Mazurkiewicz podeszedł do Jolki i wziął ją za rękę.

— Jolka, czemu gniewasz się na mnie? Wiesz, że jestem człowiekiem nieszczęśliwym. Wiesz co czuję do ciebie. Nie powinnaś pogłębiać we mnie rozgoryczenia. — Ilu kobietom to już powtarzałeś?

— Nie drecz mnie, kobieto!

— Nauczyłeś się tej formułki na pamięć i powtarzasz ją bez zająknięcia.

Mazurkiewicz odpechnął Jolkę od siebie i usiadł na fotelu zasłaniając sobie twarz. Jolka stanęła naprzeciw niego.

— Tego też wpechałeś mi do łóżka z miłości do mnie?

Mazurkiewicz westchnął boleśnie.

— Ale nie bój się. Już więcej takich scen nie będzie. Po prostu na chwilę straciłam panowanie nad sobą. I żałuję tego. To nie w moim guście. Oczywiście, że on przyszedł do mnie, bo mi się tak podobało. Gdyby mi się to nie podobało, tysiąc twoich prośb nie odniosłoby żadnego skutku. Masz rację. Zrobiłeś mi już niejedną grzeczność, teraz ja tobie pomogłam na prawach rewanżu. Nie był to, mój drogi, rewanż przykry dla mnie. Nie myśl sobie. Nic na świecie nie zmusi mnie do robienia czegoś, do czego nie mam przekonania. Zrozumiałeś?

— Jesteś okrutna! — Mazurkiewicz odsłonił twarz.

W tej chwili do pokoju wpadł Parkanowski gotowy do wyjścia. Mazurkiewicz momentalnie uśmiechnął się.

— Właśnie proponowałem Jolce, żeby poszła z nami na śniadanie, ale ona, zresztą, powiedz sama...

Jolka przeciągnęła się przymykając oczy.

— Jestem senna i położę się jeszcze.

Parkanowski poprawił krawat przed lustrem.

— Ale chyba spotkamy się jeszcze przed moim wyjazdem?

— Naturalnie.

— A zatem dziękuję za gościnę — uściśnął jej dłoń. — Koło dwunastej będę w Europejskiej. I czekam! — podniósł palec do góry.

Skinęła głową na znak, że na pewno przyjdzie. Mazurkiewicz złożył na jej dłoń długi pocałunek.

Zbiegli ze schodów skacząc po kilka stopni. Na ulicy Parkanowski rozejrzał się ciekawie.

— Nic nie pamiętam gdzie jestem.

— Przyjechaliście pewnie taksówką.

— Zły jestem, że nie wróciłem do Warszawy. Czekała tam na mnie — spojrzał machinalnie na zegarek — może by tak pojechać tym pośpiesznym po południu.

— Zwykle bywa przepełniony. Ale gdy się przyjdzie wcześniej.

— E, można znaleźć miejsce w restauracyjnym.

— Najpierw chodźmy na śniadanie. Ja też jeszcze nie miałem nic w ustach.

Parkanowski przyjrzał się z uwagą Mazurkiewiczowi.

— Przepraszam — powiedział — czy my pilniśmy bruderschaft czy nie? Bo to teraz jakoś tak dziwnie...

— Pilniśmy wczoraj.

— Nie przypominam sobie. Za dużo wypilem. No to Mundek mi na imię.

— Mnie oczywiście Władku — zaśmiali się obydwaj.

— W takim razie dokąd idziemy na przegrychę?

— Proponuję pod dawnego Snopa!

— Dobra. Idziemy! Dawno tam nie byłem.

— A po drodze wstąpimy do kwiecniarni — powiedział Mazurkiewicz. — Na rogu Szcze- pańskiej.

— Masz jakieś imieniny?

— Nie. Tylko pošlesz kwiaty tej małej!

— Ja? — Parkanowski zastanowił się chwilę, a potem wybuchnął głośnym śmiechem — Masz rację. Należą się jej kwiaty. — klepnął poufale Mazurkiewicza po ramieniu — jesteś wytworny jak cholera. Dziękuję ci.

W restauracyjce zjedli gulasz i wypili po jednej wódce. Rozmawiali na obojętne tematy. Wreszcie Mazurkiewicz przysunął stółek bliżej Parkanowskiego.

— Słuchaj, dowiedziałem się, że kupiłeś wspaniałą willę w Zakopanem.

— Tak? — zdziwił się Parkanowski — przecież kupiłem ją w zupełnej tajemnicy.

— Złożyło się tak, że wiem o tym. Oczywiście to mnie nie obchodzi. Dużo rzeczy się wie, ale trzeba to chować dla siebie.

(Ciąg dalszy nastąpi)